CZWARTEK Nr 40 27 V 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

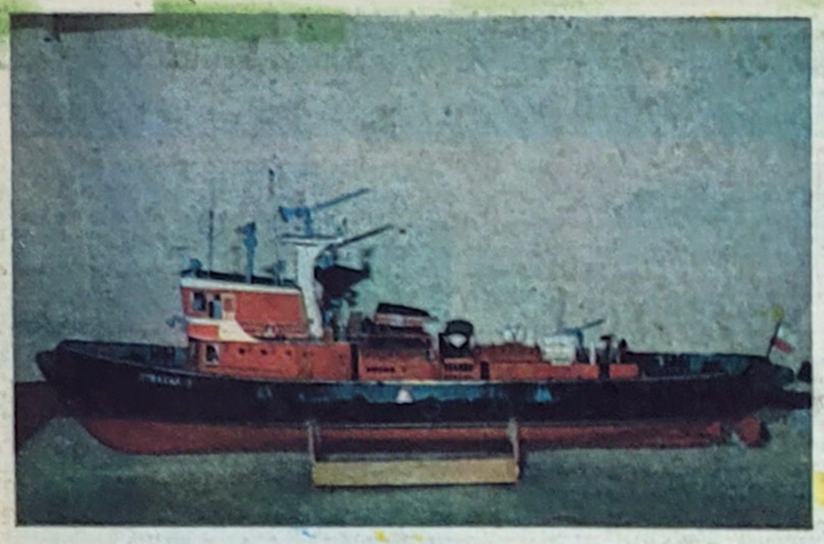

O TYM, KTÓRY SAM BUDUJE OKRĘTY

Statki budowane w stoczni, w zależności od ich wielkości, powstają w wyniku pracy wielu setek a nawet i tysięcy ludzi. Jeśli pominąć procesy opracowywania projektu nowego statku oraz przygotowywania jego już dość szczegółowej dokumentacji wykonawczej, przy których jest przecież też zatrudniona spora ilość osób, to sam proces jego budowy w stoczni ma w przybliżeniu następujący przebieg. Najpierw w olbrzymiej hali traserni w określonej kolejności, przygotowywane są – już w naturalnej wielkości – rysunki różnych części statku. Początkowo jego stępki i innych części dna, potem dziobnicy i tylnicy oraz innych sekcji kadłuba, a na końcu – co większych nadbudówek.

Na podstawie tych rysunków z arkuszy blach wycinane są, a w razie potrzeby odpowiednio też gięte części składowe statku. Zaś te są przez spawaczy łączone w większe elementy, dostarczane potem są na pochylnię, gdzie montowany jest z nich kadłub. A kiedy już gotowy kadłub statku uroczyście zostanie spuszczony na wodę wtedy do pracy przystępują wyposażeniowcy. Ten etap pracy trwa często wiele miesięcy, a elementy wyposażenia statku są sprowadzane z różnych wytwórni rozsianych po całym kraju.

Tymczasem są ludzie, którzy takie statki budują sami. Własnoręcznie wykonują nie tylko ich główne części – kadłub, nadbudówki – ale też i ich najdrobniejsze nawet elementy takie jak: kotwice, windy i łańcuchy kotwiczne a nawet i zwykłe klamki od drzwi. Oczywiście statki te nie są przez nich budowane w naturalnej wielkości, lecz w odpowiednim zmniejszeniu; są to bowiem modele tych statków, w zależności od ich przeznaczenia, budowane z mniejszym lub większym stopniem dokładności odtworzenia nawet najdrobniejszych szczegółów.

CIĄG DALSZY NA STR. 4–5

Fot. J. Łopuszyński

NIEPRAWDOPODOBNE, ALE PRAWDZIWE

Irkucki poliglota, **Jewgienij Michajłowicz Czerniawski**, biegle włada aż 38 językami świata! Będąc jeszcze dzieckiem, jeździł z ojcem po Armenii i nauczył się języka Ormian. Przebywając w Baku – opanował język azerbejdżański. W czasie studiów w instytucie politechnicznym prowadził notatki po angielsku, niemiecku i hiszpańsku. Pracując w Moskwie, już jako inżynier ciepłownictwa, w drodze do pracy i z pracy nauczył się włoskiego.

Inż. J. Czerniawski zna również dobrze język polski, którego – jak sam twierdzi – nauczył się czytając prasę polską. W ten też sposób opanował język szwedzki, duński i fiński. Ten fenomenalny poliglota twierdzi, że język jest podobny do takich dyscyplin wiedzy, jak matematyka, do której opanowania potrzebne jest jej zrozumienie, i do historii czy geografii, do nauki których potrzebna jest dobra pamięć. Wydaje się jednak, iż trzeba jeszcze mieć „odrobinę" talentu.

(r)

ZAPROSZENIE DO KSIĘGARNI

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza zaprasza dzieci i młodzież do nowego salonu swoich wydawnictw otwartego w Warszawie przy ul. Wilczej 62. Salon będzie czynny w dni powszednie w godz. 9–17. Można w nim będzie kupić prasę dla dzieci i młodzieży, prasę i wydawnictwa sportowe, grafikę i oczywiście książki – dużo nowości oraz pozycje, których już od dawna nie ma na rynku. W sprzedaży znajdą się powieści i opowiadania, poradniki, książki popularnonaukowe, reportaże, książki o tematyce społeczno-politycznej, lektury szkolne i komiksy.

Ze względu na Dzień Dziecka salon będzie czynny w najbliższą sobotę i niedzielę 29 i 30 maja. W te dni w godz. 11–13 i 15–17 swoje książki podpisywać będą znani autorzy: Hanna Ożogowska, Joanna Chmielewska, Janusz Domagalik i Tadeusz Baranowski (komiksy).

JA NIE ZMARNUJĘ LATA!

Dwa koła lepsze od czterech – dotrę na nich wszędzie. Od wakacji dzieli nas jeszcze kilka sobót i niedziel, a każdą z nich warto spędzić na rowerowej wycieczce z biwakiem. Do tego potrzebnych jest tylko kilku zapalenców, słoneczna pogoda i zdrowe nogi.

Fot. CAF – Marek Broniarek

Dwaj harcerze z Długopola
Przemek Głowala i Piotrek Zdybek
URATOWALI LAS PRZED GROŹNYM POŻAREM

Jestem osobą nie pierwszej młodości, ale może mój list w drodze wyjątku umieścicie na łamach Waszego młodzieżowego, harcerskiego czasopisma.

Sprawa niby banalna. W niedzielę, dnia 25 kwietnia 82 r. mała grupa sąsiadów zebrała się na podwórku i głośno dyskutując spoglądała na wznoszącą się ponad Długopolem Zdrojem, pokrytą pięknym lasem górę Wronkę, nad którą unosiły się kłęby dymu. Las się pali!

Dziesięcioletni chłopcy już tam byli. Meldowali: na dużej przestrzeni pali się sucha trawa, ale płomienie szybko zbliżają się do pierwszych drzew. Chłopcy pobiegli do placówki WOP-u, aby zameldować o pożarze. Dorośli w tym czasie zastanawiali się, czy od płonącego lasu mogą zapalić się najbliżej stojące budynki mieszkalne. – Oddziela nas od lasu rzeka Nysa – uspokajano najbardziej zatrwożonych.

Tymczasem o dziwo płomienie znikły, a dym unoszący się nad lasem stawał się coraz mniejszy. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że ogień gasili dwaj czternastoletni harcerze: Przemek Głowala i Piotruś Zdybek. Kiedy na miejsce ognia dotarli żołnierze WOP-u, właściwie było już po niebezpieczeństwie

Pożar został przez wymienionych chłopców zlokalizowany. Wrócili czarni, brudni. Unosił się nad nimi swąd spalenizny. Z lekceważeniem opowiadali o swej przygodzie. Co tam za pożar... Paliła się polanka na stokach wzgórza. Kiedy tam dotarli, płomienie obejmowały już gałęzie pierwszych drzew. – Gdybyśmy zjawili się parę minut później, byłoby już po lesie – mówili. Zadeptywali płonącą trawę trzewikami, większe płomienie gasili rozpostartymi kurtkami. Nie było w nich żadnej pozy. Płomienie nie były tak duże, by im cokolwiek groziło – mówili. Nawet się nie poparzyli. Czy się bali? Teraz się boją mamy. Spodziewają się tęgiej bury, za podniszczone buty i kurtki.

Szumi na wietrze piękny las pokrywający malowniczą górę Wronkę, ulubione miejsce spacerów kuracjuszy. Las uratowany przez dwóch długopolskich harcerzy. O tym czynie harcerzy prawie nikt nie wie. Wielu mieszkańców nawet nie słyszało o tym, że pięknemu lasowi, ba, ich domostwom groziło niebezpieczeństwo. Że ocalenie zawdzięczają dwóm dzielnym chłopcom.

Czesław Szarek
57-520 Długopole Zdrój

Unikalny drzewostan Borów Tucholskich

(PAP). Bory Tucholskie – choć niewiele mają wspólnego z typowymi puszczami w innych regionach kraju, zawierają unikalny w Europie rezerwat drzew; na obszarze blisko 18 ha rośnie prawie 5 tys. cisów, z których najstarsze liczą sobie ok. 1000 lat i osiągnęły wysokość 15 m.

„Cisy staropolskie" w nadleśnictwie Wierzchlas są celem wielu wycieczek przedmiotem szczegółowych badań naukowych, a także obiektem zainteresowania malarzy. Płótna Leona Wyczółkowskiego, przedstawiające te unikalne drzewa, już przed kilkudziesięciu laty wzbudzały zainteresowanie zarówno krytyków, jak i... botaników.

Bezcenna wartość rezerwatu Wierzchlas wynika z niezwykłej rzadkości występowania cisów, które – jak się przypuszcza – należą do innej, starszej epoki roślinnej. Ubywa także „cisów staropolskich", które jeszcze przed stu laty miały korzystniejsze warunki wzrastania – rosły wówczas na swoistej wyspie opartej jednym brzegiem o jezioro Mukrz i otoczonej zewsząd podmokłymi łąkami, częściowo osuszenie tych terenów pogorszyło warunki wegetacji drzew, które „nie nadążają" obecnie z uzupełnieniem naturalnych ubytków.

POMNIK 1000-LECIA JAZDY POLSKIEJ

(PAP). Przed kilku laty Klub Kombatantów Warszawskiej Dywizji Kawalerii wystąpił z inicjatywą wzniesienia pomnika upamiętniającego konnicę i kawalerię – formacje znajdujące szczególne miejsce w tysiącletnich dziejach oręża polskiego. Zamysł ten realizuje działający od niespełna roku Komitet Organizacyjny Budowy Pomnika 1000-lecia Jazdy Polskiej z gen. bryg. **Ksawerym Floryanowiczem,** ostatnim dowódcą rozwiązanej w 1947 roku Warszawskiej Dywizji Kawalerii.

Przewiduje się, że jeszcze w tym roku rozpisany zostanie otwarty konkurs na projekt pomnika. Jego realizacja nastąpiłaby w latach 1983–85. Okres ten wiąże się m. in. z 300 rocznicą słynnego zwycięstwa pod Wiedniem i 40 rocznicą ostatniej szarży polskiej kawalerii, która miała miejsce 1 marca 1945 roku pod Bobrujskiem na Pomorzu Zachodnim.

W myśl założeń bryłę pomnika utworzą realistyczne rzeźby żołnierza i konia; postument wzbogacą płaskorzeźby przedstawiające sceny z dziejów walk jazdy polskiej.

Wpłaty na budowę pomnika kierować można na konto: **Komitet Organizacyjny Budowy Pomnika 1000-lecia Jazdy Polskiej, NBP IV Oddział Miejski w Warszawie, ul. Karowa 20, nr 1049-11530-132.** Wpłaty w dewizach zaś na konto tego Komitetu w **Banku PKO SA I Oddział w Warszawie, ul. Czackiego 21, nr 1516-197870-00025087. (r)**

W HARCERSKIM KRĘGU

JAK TO NA MANEWRACH BYWA...

W Hufcu Gdynia odbyły się VIII Manewry Techniczno-Obronne. Wzięło w nich udział 26 patroli sześcioosobowych z wielu szczepów miasta. Impreza mimo brzydkiej pogody zapowiadała się ciekawie. A jak było naprawdę?

Zbiórkę patroli wyznaczono na godz. 7.00. Tymczasem wszyscy, razem z Komendą Hufca, zebrali się o 7.40. Sprawy kwatermistrzowskie też zajęły więcej czasu niż było przewidziane w planie dnia. O 8.40 odbył się apel, a od 9.00 co 15 minut wyruszały na trasę biegu patrole. I tu, dość korzystane rozwiązanie: patrole o numerach parzystych pokonywały punkty w kolejności od VIII – I, a patrole o numerach nieparzystych w kolejności odwrotnej.

Pierwszym punktem była łączność. Sprawdzenie wiadomości polegało na rozwiązaniu testu, nawiązaniu łączności za pomocą radiotelefonów i nadaniu sygnałów alfabetem Morse'a za pomocą chorągiewek.

Drugi punkt to wiedza ogólnoharcerska. Były pytania dotyczące symboliki, stopni i umundurowania, historii.

Trzeci punkt dostarczył nie lada wrażeń, gdyż była to strzelnica. Wiele emocji sprawiło strzelanie z prawdziwego pistoletu. Potem jeszcze przemiły druh – żołnierz oprowadził nas po Izbie Tradycji jednostki wojskowej.

Natępnym punktem, znajdującym się w dość niezwykłym miejscu (zaplecze cmentarza) było terenoznawstwo. Tutaj trzeba było wykazać się znakomitą orientacją w terenie, znajomością mapy, kompasu i busoli. Nie wystarczyło tylko powiedzieć, że kierunek północny wyznaczamy w terenie za pomocą mrowisk i pni drzew, ale np. wskazać go za pomocą zegarka i zapałki, czy słońca, którego... nie było.

Piąty punkt – samarytanka to dla niektórych „ciężki orzech do zgryzienia". I znów test, znów odpowiedzi ustne no i... praktyka. Unieruchomienie nogi „rannemu" druhowi, przywrócenie do życia „nieprzytomnej" druhny czy opatrzenie miejsca po ukąszeniu. Uff... jakoś poszło.

W dalszą drogę ruszyliśmy według azymutu. Kolejny punkt dotyczył znajomości przepisów ruchu drogowego w zakresie wiadomości na kartę rowerową. Druhowie i druhny posiadający takową świetnie poradzili sobie z pytaniami. Innym wiodło się gorzej.

Siódmy punkt dotyczył wiedzy ogólnowojskowej. Z odpowiedziami na pytania o stopnie wojskowe, dzieje oręża polskiego najwięcej kłopotów miały co niektóre druhny. Musztra jednak wypadła w większości patroli znakomicie.

Przed nami ostatni punkt kontrolny – tor sprawnościowy! Poszło znakomicie! I czołganie, i chodzenie po linie zawieszonej między drzewami, nawet dziewczynom wspaniale wychodziły „te koszmarne pompki". Po zaliczeniu toru byliśmy trochę zmordowani. Doszliśmy do punktu zbiórki, chwila odpoczynku a potem godzina prac społecznych na terenie Bryzy*). Później obowiązkowy bigos kolacyjny; apel i ognisko. Wiele się po nim spodziewaliśmy. Tymczasem wyszło to zupełnie inaczej. Każdy patrol sprawiał wrażenie, jakby śpiewał sam dla siebie i tylko nieliczni przy pomocy gitar próbowali wciągnąć resztę do wspólnego śpiewu.

Następnego dnia rano rozpoczął się ostatni etap manewrów zatytułowany „Pionierka i obozownictwo". I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie brak namiotów i fatalny stan tych, które były. Patrole, dla których nie starczyło namiotów, budowały kuchnie polowe, ujawniały talenty w zdobnictwie obozowym (totemy, godła zastępów itp), rolowały koce i wiązały węzły.

Na koniec apel pożegnalny, wręczenie nagród zwycięskim patrolom i odznak OSO.

Ogólnie rzecz biorąc była to dość udana impreza. Zdarzały się jednak rzeczy rażące, ot chociażby niepunktualność. Nie pamiętam, aby którykolwiek punkt programu zaczął się w zaplanowanym czasie.

Jestem młodą instruktorką ZHP. Dopiero w tym roku objęłam drużynę harcerską, ale jestem „harcerzycą" ze stażem liczącym 8 lat (od 1974 r.) i chyba mam prawo krytykować to, co mi się w harcerstwie nie podoba. Moim zdaniem, harcerzy, a szczególnie instruktorów powinna cechować szczególna punktualność.

Czuwaj!

Druhna „Pszczoła"

*) **Bryza – jest to baza harcerska na poboczu Gdyni. Odbywają się tam obozy, biwaki i szkolenia.**

Harcerstwo nie jest tylko na pokaz

Jesteśmy zastępem „Apaczy" w drużynie harcerskiej im. Generała Karola Świerczewskiego przy Szkole Podstawowej w Jaćmierzu, uczęszczamy do VI klasy, zastęp liczy 9 osób. Uważamy, że ZHP nie jest tylko na pokaz.

Działać zaczęliśmy dopiero od kl. VI. Zagospodarowaliśmy nieużyteczny kiosk stojący obok szkoły i za zgodą pani dyrektor i drużynowej przeznaczyliśmy go na własną kwaterę nadając jej nazwę „Wigwam" (ponieważ obraliśmy nazwę plemienia indiańskiego). Zorganizowaliśmy loterię fantową, dochód wynoszący 1180 zł przeznaczyliśmy na „Fundusz sztandarowy" (grono nauczycielskie i uczniowie postanowili przez różnego rodzaju akcje, zbiórki makulatury, złomu itd. ufundować sztandar dla naszej szkoły). Na zbiórkach się nie nudzimy, organizujemy je sobie sami, odbywają się one raz w tygodniu. Myślimy o założeniu mini biblioteczki czasopism, z której mogliby korzystać uczniowie naszej szkoły. Dziwi nas, że niektórzy działalność harcerską zaczynają dopiero, gdy są w szkole ponadpodstawowej.

Chętnie korespondowalibyśmy z innymi zastępami.

Nasz adres: **Szkoła Podstawowa, 38-532 Jaćmierz, woj. Krosno**
Zastęp „Apaczy"

NAPISZCIE DO NICH

Jestem przyboczną 13 DH im. Gen. J. Bema w Brzostku. Mamy ponad 100 adresów pionierów z całej Bułgarii i dosłownie nie wiemy co z nimi począć. Może ktoś z Czytelników „Świata Młodych" zechciałby korespondować z młodymi Bułgarami? Jeśli tak, to bardzo prosimy, aby przesłał na niżej podany adres kopertę z adresem (swoim!!!) i znaczkiem oraz koniecznie napisał, do której chodzi klasy. Korespondować można w języku rosyjskim, bułgarskim lub angielskim.

Czuwaj!
13 Drużyna Harcerska
im. Gen. J. Bema
przy Zbiorczej
Szkole Gminnej
w Brzostku
33-125 woj. Tarnów

Piszę w sprawie, która jest dla mnie i dla moich kolegów bardzo ważna. Należę do Drużyny Harcerzy Starszych im. gen. Sosabowskiego w Brzegu Dolnym. Poszukujemy informacji o naszym patronie. Był on dowódcę polskiej 1 Brygady Powietrzno-Desantowej na Zachodzie. Jesteśmy drużyną „czerwonych beretów" i byłbym wdzięczny gdybyśmy mogli nawiązać kontakt z innymi drużynami o podobnym profilu, a także byłymi żołnierzami, którzy walczyli w tej formacji.

Marek Owczarz
ul. Lelewela 9/31
56-120 Brzeg Dolny

ZAŁÓŻMY HARCERSKI KORESPONDENCYJNY KLUB DOKUMENTACJI DŹWIĘKOWEJ

Po raz pierwszy piszę do „ŚM", bo uważałem, że jak napisać, to coś konkretnego. Prowadzę młodszoharcerską drużynę przy SP-7 w Koszalinie. Jestem także członkiem starszoharcerskiej drużyny środowiskowej.

Pewnego dnia nasza drużyna (starszoharcerska) otrzymała polecenie, aby jeden z kominków poświęcić K.K. Baczyńskiemu. Ponieważ wiedziałem, że kominek będzie bardzo żywy, taki „prosto od serca" postanowiłem go nagrać na kasetę. Przyniosłem magnetofon, mikrofon i niezbędne przyrządy. Próba wypadła wspaniale. Dźwięk nagrany przeze mnie w połączeniu ze zdjęciami będzie wspaniałą dokumentacją przeżytych chwil. Stąd też moja propozycja założenia HKKDD, czyli Harcerskiego Korespondencyjnego Klubu Dokumentacji Dźwiękowej. Wystarczy magnetofon, kasety, bateria, by każde ognisko, każda zbiórka była zarejestrowana. Członkowie klubu mogliby korespodnować poprzez Harcerski Krąg. Można by spotkać się w wyznaczonym czasie w jakimś mieście i przegrywać harcerskie piosenki (a tych przecież jest tak mało na krajowych płytach i kasetach) dyskusje ze zlotów, rajdów itp.

Uważam, że HKKDD mógłby istnieć i powinien. A jak potem miło oglądać dawne zdjęcia i jednocześnie słuchać gawęd z tamtych dni... Cykl kaset, które u siebie (w drużynie) zapoczątkowałem nazwałem – „Harcerskie Echo". W ten sposób powstanie ciekawa taśmioteka i dokumentacja dziejów drużyny.

Z harcerskim pozdrowieniem
Czuwaj!

Janusz Przemieniecki
ul. Karłowicza 6
75-563 Koszalin

KOLEJNA LISTA AUTORÓW NAGRODZONYCH KORESPONDENCJI

Za najciekawsze w ciągu kilku ostatnich tygodni uznaliśmy korespondencje następujących autorów:

1. **Kasi Hańskiej z Katowic**
2. **„Guzika" z Tarnobrzega**
3. **Bożeny Sławik z Żor**
4. **„Łukasza" z woj. katowickiego**
5. **Drużyny Harcerskiej i Zuchowej z Mołodiatycz.**

Wyróżnionym autorom gratulujemy i wysyłamy książki o tematyce harcerskiej.

UWAGA: Czytelnik podpisujący się pseudonimem „Wodospad"! Zgubiliśmy Twój adres domowy i nie możemy wysłać nagrody. Napisz do nas!

Czym skorupka za młodu...

MŁAWA (HSI). Mławski Ośrodek „Nowoczesnej Gospodyni" cieszy się dobrą sławą i coraz większym powodzeniem. Do ośrodka przychodzą nie tylko gospodynie domowe, ale również i dziewczęta. Podczas mojej wizyty w ośrodku zastałem uczennice z Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego i Technikum Budowlanego im. Ludowego Wojska Polskiego. Uczą się one tutaj kroju i szycia, planowania budżetu rodzinnego. Organizują także pokazy mody uszytych przez siebie strojów. Nabyte tu wiadomości i zdobyte umiejętności z pewnością przydadzą się przyszłym żonom. **(aug)**

REDAKCYJNA POCZTA

Moja imienniczka też nie ma przyjaciół

Mam 12 lat i chodzę do V klasy. W nowej szkole jestem już drugi rok. Poznałam tutaj nowe koleżanki, ale nie mam przyjaciółki. W naszej klasie jest jedna dziewczyna, moja imienniczka. Z nią też żadna dziewczyna nie chce się przyjaźnić. Renata zawsze stoi z boku, gdy dziewczyny rozmawiają o różnych sprawach i grają w różne gry. Nie chcą jej przyjąć do wspólnego grona. Mówią, że ona taka już zostanie i że jest niekoleżeńska, ponieważ nikomu nic nie pożycza. Nie jest tak, przekonałam się o tym. Na matematyce nie miałam kredek, poprosiłam ją i Renata mi pożyczyła. Staram się ją wciągnąć do normalnego środowiska, a nawet chcę żeby została moją przyjaciółką. Jednak inne dziewczyny z klasy przeszkadzają mi w tym, przy Renacie mówią jaka ona jest. Pewnie chcą, aby ona upadła na duchu i aby była przekonana, że nie jest już nikomu potrzebna. Proszę o jakąś radę na moje niekoleżeńskie rówieśniczki, bo chcę dopomóc Renacie.

Renata z Sosnowca

Dla miłośników „Świata Młodych"

Mam pewne zastrzeżenia do listu Małgorzaty Kocur zamieszczonego w 18 nr „ŚM". Sam pomysł zdobycia pieniędzy nie jest zły, ale podział numerów między trzy przyjaciółki, moim zdaniem, nie jest najlepszy. Bo np. jeżeli jedna z przyjaciółek uwielbia komiksy, druga – opowiadania w odcinkach, a znów trzecia przepada za „Biblioteczką zastępowego", niestety, nie będzie mogła tego kolekcjonować. Dlatego proponuję trochę inny podział. Otóż jedna zbiera same komiksy, druga – opowiadania, trzecia – biblioteczkę. Zostaje nam jeszcze „wycięty" „ŚM" z wieloma ciekawymi artykułami i reportażami. Nasuwa się jeszcze takie pytanie: a jeżeli wszystkie trzy dziewczyny jednocześnie przepadają za wszystkim, to co? To mogą ciągnąć losy. A po wydrukowaniu wszystkich odcinków powieści lub komiksu, mogą się wymienić.

P.S. Małgosiu, proszę, nie gniewaj się na mnie, że w części skrytykowałam twój pomysł.

Agnieszka Majcher (14 lat)
ul. Pułaskiego 26/18
50-446 Wrocław

Jak zmienić klasę?

Chciałbym uzyskać odpowiedź na pytanie, jak zmienić swoją klasę. Otóż moja klasa jest niezgrana, nie można z nią nic zrobić. A jeżeli chcę coś urządzić jak np. wieczorek, to prawie każdy odpowiada: „nic mnie to nie obchodzi". Z przynoszeniem składek też się ociągają, czasem po 20 zł zbieram dwa lub trzy tygodnie. Nie mam więcej sił żeby dociągnąć do końca roku. Czy Czytelnicy pomogą mi znaleźć sposób na klasę? Może po wydrukowaniu tego listu moja klasa się zmieni?

Robert

OD REDAKCJI: Przez przeoczenie w 7 numerze „ŚM" z dnia 11. III. br wydrukowaliśmy w Kąciku Przyjaciół niepełny adres Marty Skiby. Martę i Czytelników gorąco przepraszamy. A oto prawidłowy adres Marty: Marta Skiba, ul. H. Sawickiej 10, 32-400 Myślenice, woj. Kraków (bs)

W MAJOWYM NUMERZE BZ

Prawie wszystko o wędrówkach i biwakach

Sądzimy, że zarówno ci, którzy mają sporo praktyki w turystycznych wyprawach, jak i ci dopiero co przymierzający się do nich znajdą sporo materiałów przydatnych do ich organizacji. Co zatem znajdziecie:

- Co podpatrywać w majowej przyrodzie
- Propozycje XIII TWO, czyli pomysły na wędrówkę
- Jak urozmaicić marsz, jak racjonalnie odpoczywać
- Praktyczne porady dla tych, którzy przygotowują się do biwaku
- Jak zrobić miód z mlecza, czyli zioła w plecaku
- O ogniu i ogniskach
- Kolejny odcinek historii harcerstwa
- Krótki kurs samarytański – część pierwsza
- Piosenki

Załatwić z samym sobą

WNIEŚĆ KURĘ I PODZIELIĆ ZAPAŁKĘ NA CZWORO

Szkocki lord zaprosił gości do swego starego, rodowego zamku. Siedli w rozległej, trochę ponurej i chłodnej sali wokół wielkiego, masywnego stołu z wytworną zastawą. Podano chleb i wodę. Goście skubali grzecznie chleb i moczyli leciutko wargi w wodzie, uznając, że podanie tego dziwnego dania wiąże się z jakąś rodzinną tradycją. Wszedł lokaj i zapytał: „Sir, czy wnieść już kurę?" Goście zgłodniali już nieco ostrzyli zęby na drób, ale pan domu odpowiedział: „Nie. Chleb jeszcze nie został zjedzony". Biesiadnicy więc, radzi nie radzi, zabrali się energicznie do chleba. Kiedy ostatnie kromki zniknęły, lokaj ponowił swoje pytanie. „Tak, proszę wnieść" odpowiedziano tym razem. Lokaj wyszedł, a kiedy wrócił, niósł w wyciągniętych przed siebie rękach śliczną, pstrokatą i... zupełnie żywą kurę. Ku zdumieniu gości postawił ją delikatnie na śnieżnobiałym obrusie, a kura spokojnie przemaszerowała od krańca do krańca długiego stołu wydziobując z pedantyczną dokładnością wszystkie pozostałe z posiłku okruszki.

Ta historyjka jest dowcipem mającym ośmieszyć skąpstwo Szkotów, które podobno jest ich charakterystyczną cechą narodową. Bawi się nim cały świat. Mnie też wydawał się bardzo śmieszny. Do dziś. Bo dziś spotkałam przy śmietniku jednego z mych sąsiadów przesypujących ze swego kubełka do metalowego pojemnika resztki chleba wielkie jak pięści, niektóre pokryte białym, inne zielonym kożuszkiem pleśni. Szkot był brzydko skąpy, to prawda. Ale myślał niegłupio, że gdy się ma kurę i okruchy chleba, to z tego może wyniknąć jakaś korzyść. A my tego związku logicznego w żaden sposób nie możemy dostrzec. Więc nie będziemy mieć kur.

Skoro jesteśmy przy chlebie... Pewna moja znajoma przed paru laty wróciła z podróży do Anglii. Opowiadała mi przy kawie swoje wrażenia. Po wygłoszeniu entuzjastycznych pochwał mówi nieoczekiwanie: „Nie mogłabym tam jednak żyć. Oni są tacy jacyś... Ta pani Brown, u której mieszkałam, potrafiła wyprawiać się w drugi koniec Londynu, żeby kupić szynkę o parę penów tańszą. Rozumiesz, o parę penów. Koszmar!" Kiwam potakująco głową: „Koszmar!" „Czy nie szkoda by cł było czasu?" „Szkoda, oczywiście że szkoda" mówię spędzając właśnie czas na rozwijającym mnie zajęciu poznawania obyczajów dalekich krajów przy kawiarnianym stoliku. Doszłyśmy wreszcie do kuchni i potraw. „A na śniadanie obowiązkowo tosty" mówi znajoma. „Pyszne, chrupiące, świeże. Muszę wprowadzić je do jadłospisu mojego domu. To jest bardzo wytworne danie". Gdyby ktoś przypadkiem nie wiedział, co to są tosty, wyjaśniam, że są to grzanki. Opiekany chleb.

Tak oto okazuje się, że pewne formy oszczędzania są odrażające, a inne – wytworne, o ile doprawimy je szczyptą snobizmu. Powiedzmy sobie szczerze, kto z nas nosiłby dżinsy łatane z konieczności? Nikt. A dla szpanu? Wszyscy. Łaty skórzane na łokciach przetartych swetrów – tak, bo to modne. Cerę na kolanie – nie, bo pachnie biedą. Boso – proszę bardzo, jeśli ktoś krzyknie, że tak się chodzi powiedzmy w Paryżu. W butach z niemodnym noskiem lub obcasem – nie, bo można uchodzić za nieobytą gęś.

Ileś tam lat temu, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, zdarzyło mi się pisać wypracowanie o położeniu chłopów w międzywojennym dwudziestoleciu. Umieściłam w nim zdanie brzmiące mniej więcej tak: „Nędza była taka, że chłop dzielił zapałkę na czworo". Nie wymyśliłam tego malowniczego argumentu sama. Było to modne w owym czasie zdanie, z którego należało umieć korzystać w odpowiednim momencie. Każda epoka i epoczka ma swoje ulubione powiedzenia. Wtedy był czas na tamto.

Chciałam sprawdzić, jak ubogi chłop dokonywał tej karkołomnej sztuki dzielenia zapałki, podejmując liczne nieudane eksperymenty. Kiedy udało mi się wreszcie rozszczepić któryś z zapałczanych kołeczków, ani jedna z uzyskanych szczapek nie chciała spełnić swego przeznaczenia – zapłonąć. Pomyślałam więc, że żaden rozsądny chłop nie marnowałby tak idiotycznie zapałek, szczególnie, że były drogie. Szukałam więc możliwie najstarszego Polaka, który mógłby mi coś na ten temat powiedzieć grzebiąc we własnej pamięci. Nie udało mi się co prawda znaleźć takiego, który by zapałki dzielił, ale spotkałam paru twierdzących, że czynność ta była wykonalna ze względu na jakość prazapałek.

Skoro tak, skoro jedna zapałka mogła zapłonąć cztery razy, pomyślałam, to może chłop ją dzielił nie tyle z ubóstwa co z rozsądku?

W ostatnich czasach z okienka telewizyjnego dowiadujemy się, że w zakładach obuwniczych iks opracowano nowy wzór sandałków dziecięcych, które można wykonać z resztek skóry dotychczas po prostu... wyrzucanej. W zakładach odzieżowych igrek zwiększa się produkcję przez wykorzystanie resztek materiału na szycie ubrań dla dzieci. I to jest znak, że pojawiła się na naszym rodzinnym gruncie szkocka kura. Szkoda tylko, że czekała z tą wizytą na czas kryzysu gospodarczego. Czy nie mogła wcześniej?

A do naszego własnego mini-gospodarstwa nastolatkowego nie warto by jej wpuścić?

Myślę, że nie zaszkodzi przemyśleć to z samym sobą.

EWA DROBNIK

W poprzednim numerze mogliście przeczytać o dziejach jednej z najstarszych w Polsce (a na pewno najstarszej w Warszawie) drużyny harcerskiej. W kolejnym odcinku – o tym czym dziś żyją harcerze z Szesnastki.

Po prostu szesnastka (2)

Trudno uwierzyć, że po wojnie zaczynali zaledwie od dwóch zastępów. Bo właśnie tylu mniej więcej chłopców już w dwa miesiące po wyzwoleniu stolicy zdołało odszukać siebie w ruinach. Odnaleźli się także instruktorzy z Koła Zawiszaków. Przy ich właśnie chęci i pomocy znów w gimnazjum im. Staszica pojawili się harcerze z łowickimi krajkami i góralskimi kostkami na otokach czapek. Gdy po siedmioletniej przerwie (1949–56) reaktywowano Związek Harcerstwa Polskiego jako autonomiczną organizację, 16 WDH odrodziła się w koedukacyjnym Liceum im. Kołłątaja, lecz wciąż była jeszcze drużyną wyłącznie męską. Odtąd związali się na stałe z Ochotą. Po kilkunastu latach drużyny im. Zawiszy istniały jednocześnie w paru szkołach podstawowych. I tak się jakoś stało, że na dłużej osiedli w Szkole Podstawowej nr 9, w której są do dziś.

Dziś Szczep 16 WDH im. Zawiszy Czarnego zmienił swój charakter. Wprawdzie wciąż, jak to było dawniej, szczep nazywa się tu drużyną, a drużyna plutonem, jednak chłopcy w Szesnastce przestali wodzić prym. Zawiszacy to obecnie także dziewczęta, gromada zuchów, a również starsi harcerze, dawni wychowankowie – obecnie uczniowie szkół średnich, którzy dali początek kolejnemu plutonowi.

Najważniejszy zastępowy

W tej szkole trudno byłoby nie zauważyć obecności harcerzy. Widzi się ich i sporo o nich mówi. Uczniowie, którzy chcieliby znaleźć się w szczepie muszą przejść próbę. Nie wystarczy regularnie przychodzić na zbiórki i skwapliwie wykonywać polecenia. Ważne jest i to, czy kandydaci znajdą wspólny język z innymi, czy przez nich zostaną zaakceptowani, wreszcie i to, co sami mają do zaofiarowania zastępowi.

Ten czteromiesięczny próbny etap kończy bieg z przeszkodami. Jeżeli ma się podstawowe wiadomości dotyczące symboliki krzyża, regulaminów, historii i tradycji drużyny, uzyskuje się prawo noszenia krajki i kostek. Potem jeszcze tylko „bieg na plakietkę szczepu", w którym trzeba się wykazać bardziej szczegółową wiedzą niż poprzednio i kandydat zostaje pełnoprawnym członkiem Szesnastki.

Najłatwiej przygotować się do dwu biegów, gdy ma się szczęście trafić do dobrego zastępu. Kadra szczepu ma świadomość, że to właśnie zastęp kształtuje harcerza i na pracy zastępów opiera się cała działalność szczepu. Stąd troska o to, by wychować, przygotować do samodzielnej pracy dobrych zastępowych. Przyboczna drużyny dziewcząt, czyli Bractwa Czarnego Orła (ta nazwa wzięła się od herbu Zawiszy), druhna Agnieszka Kalbarczyk przyznaje wprost: *„Musimy wciąż szkolić zastępowych, gdyż na nich spoczywa cały ciężar harcerskiej służby. Chcemy, żeby mieli dużą wiedzę, autorytet, ale jednocześnie by traktowani byli przez harcerzy z zastępu jak starsi bracia czy siostry."*

Gdy pytam Dorotę Serek, zastępową jednego z trzech zastępów dziewcząt, czy jej podopieczne rzeczywiście darzą ją takim siostrzanym uczuciem, odpowiada z namysłem: *„Nie wiem, czy to tak właśnie należy nazwać. Sama mam zaufanie do dziewczyn i wydaje mi się, że i one mi ufają. Pewnie nawet lubią... Inaczej nie zwierzałyby mi się chyba tak chętnie ze swoich osobistych kłopotów. Zresztą te koleżeńskie stosunki przenoszą się również poza zbiórki."* Wspólnie zastanawiamy się, jakie cechy powinien mieć dobry zastępowy. Okazuje się, że dla dziewcząt z Szesnastki liczy się głównie umiejętność nawiązania serdecznego kontaktu, odkrywania w innych mocnych stron i przydzielania zadań odpowiadających możliwościom.

Pracowite dni

Zwykle już późną jesienią żyło się w 16 WDH przygotowaniami do zimowiska. W tym roku było inaczej. Zimą roznosili paczki żywnościowe, które zalegały masowo w kościele Św. Jakuba. Było to właściwie zadanie dla prawdziwych zwiadowców. Trzeba było wytropić nieznane uliczki, zagubione budynki. A wydawało im się, że już zupełnie nieźle znają swoją dzielnicę. Ludzie reagowali różnie. Przeważnie zaskoczeniem. Utkwiło im w pamięci małżeństwo, do którego dotarli w jakiś czas po ogłoszeniu stanu wojennego. Żyli samotnie bez radia i telewizora, bez gazet. I to właśnie harcerze przynieśli im pierwsi wiadomości o tym, co się w kraju wydarzyło. A potem było Pogotowie Zimowe. Wielu miało już pewne doświadczenie w kontaktach ze starszymi ludźmi, ale mimo to ze zdziwieniem stwierdzili, że nie tylko pomoc w pracach domowych jest tym osobom potrzebna.

„Trafiliśmy kiedyś – wspomina Monika Odorowicz – *do dość jeszcze młodej, sparaliżowanej kobiety. Właściwie to opiekował się nią syn. Ale dla tej pani najważniejsze było to, że mogła z kimś zamienić parę słów, opowiedzieć o swojej chorobie. Odwiedzałyśmy także staruszkę ponad osiemdziesięcioletnią, która uważała, że sama sobie ze wszystkim doskonale poradzi. Mimo to chętnie nas widziała u siebie, bo zauważyła, że interesują nas jej opowiadania o tym, jak za czasów jej młodości wyglądała nasza dzielnica."*

Czy wbrew rodzicom?

Z początkiem każdej wiosny zawiszacy wyjeżdżają na rajdy. W tym roku zaczęli wcześnie. Śnieg leżał jeszcze na polach, gdy wyruszyli w plener w swoich nowych panterkach szytych z białego spadochronu. Ale nie wszyscy tę aktywność po-

W najlepszych latach Szesnastki istniała zawsze łączność pokoleniowa, starsi oddziaływali swoją postawą na młodszych

Fot. **archiwum 16 WDH**

Oryginalna łowicka krajka w kolorach: zielony, pomarańczowy i czerwony oraz góralskie kostki na otokach czapek to charakterystyczne elementy umundurowania druhów z 16 WDH.

Fot. **Maryla Zieleniewska**

chwalają. Przeciwnicy znaleźli się wśród niektórych nauczycieli i rodziców. A wszystko przez to, że zbyt często harcerze usprawiedliwiali swoje nieprzygotowanie do lekcji wyjazdami na wycieczki.

Dorota: *„Później rodzice dowiadują się od nauczycieli, że te wszystkie złe stopnie to z powodu harcerstwa. W konsekwencji zabraniają wyjazdów. Wyjście jest jedno: trzeba przekonać obie strony, że można się zaangażować w harcerstwo i mimo to całkiem dobrze radzić sobie z nauką."*

Taka postawa niechęci na szczęście nie jest typowa dla rodziców. Większość z nich przychylnie przygląda się harcowaniu córek i synów. W historii 16 WDH prężnie działające Koło Przyjaciół Harcerstwa, złożone właśnie z rodziców, przychodziło zawsze z pomocą Zawiszakom w trudnych chwilach. Teraz jest podobnie. Przed paru laty, gdy przewodniczący KPM płk. Kuczyński rzucił hasło akcji zarobkowej „Znicz", Szesnastka wybrnęła z poważnych finansowych tarapatów. Sami zarobili na nowy sztandar. Starczyło też pieniędzy na uzupełnienie mocno już sfatygowanego sprzętu obozowego.

Letnia robinsonada

Jak Szesnastka Szesnastką, trudno wyobrazić sobie wakacje bez obozu letniego. Zawiszacy wyjeżdżali przecież w najtrudniejszych latach zaborów czy też hitlerowskiej okupacji. Zdarzało się jednak i tak, że wśród kadry brak było ludzi na tyle doświadczonych, by mogli wziąć na siebie trud zorganizowania i poprowadzenia obozu.

„I w takich właśnie krytycznych momentach zwoływali się dawni Zawiszacy – wspomina dh Włodzimierz Dusiewicz, drużynowy Szesnastki z lat pięćdziesiątych. – *Każdy poświęcił tydzień własnego urlopu, by obozem pokierować. W ciągu miesiąca komedant zmieniał się parę razy. Byli to ludzie o przeciwstawnych często temperamentach, odmiennych osobowościach. Może ze względów wychowawczych te zmiany nie były najkorzystniejsze, ale przynajmniej chłopcy poznali, różne style kierowania, różne metody pracy. I najważniejsze; obóz jednak był."*

Coraz mniej drużyn i szczepów organizuje dziś samodzielne obozy. Wolą wysyłać poszczególne zastępy na zgrupowania obozów hufca lub chorągwi. I wygodniej i taniej. Zawiszacy chcą jednak wytrwać przy swojej tradycji. Nawet dzisiaj, gdy koszty zorganizowania obozu niepomiernie wzrosły, nie tracą nadziei, że pojedzie ich tylu co zwykle. Trwają właśnie przedobozowe narady z rodzicami na ten temat.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

PO RAZ DRUGI MISTRZEM ŚWIATA W WALCE NA SZPADY

D'Artagnan z Wrocławia

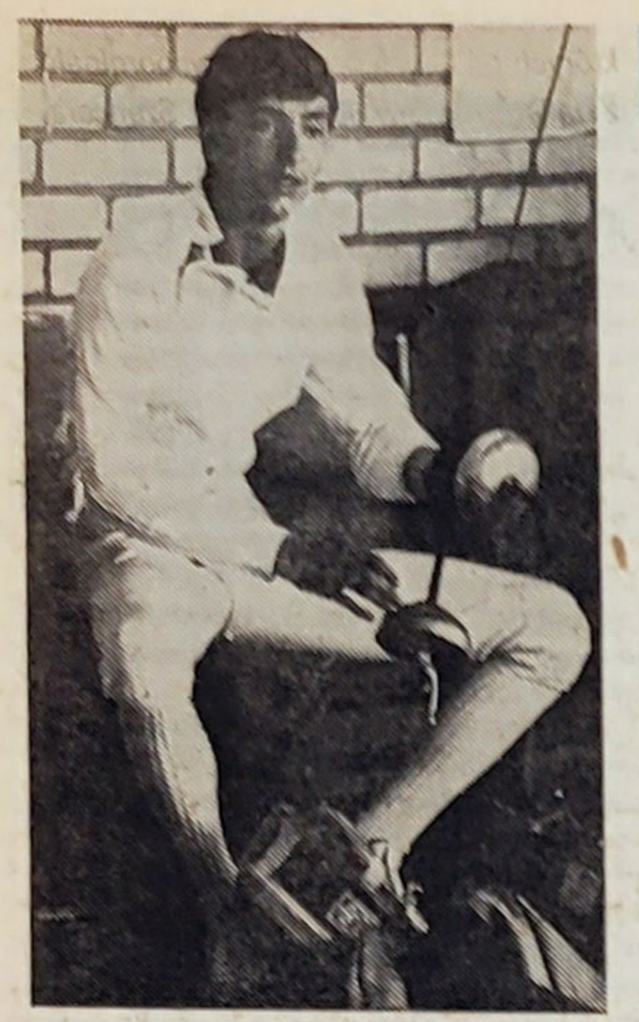

Któregoś kwietniowego dnia nadszedł z Buenos Aires radosny meldunek. Światowe agencje informowały, że młody Polak – **Robert Felisiak**, został mistrzem świata juniorów w walce na szpady. Po raz drugi z rzędu. Takiego wyczynu nie dokonał przedtem żaden polski szermierz, chociaż przez wiele lat dyscyplina ta była wizytówką polskiego sportu, a wspaniałych szablistów, florecistów i szpadzistów nigdy nam nie brakowało. Wysoki (185 cm), szczupły, wręcz chudy (57 kg), o długich ramionach i niesfornych, opadających na oczy włosach, niespełna 20-letni student z Wrocławia określony został największą indywidualnością argentyńskich mistrzostw. Sukces Roberta był tym cenniejszy, że cała reprezentacja Polski na szermiercze mistrzostwa świata w Buenos Aires składała się tylko... z Roberta Felisiaka.

NAWET TRENER NIE WIERZYŁ...

Swój wyjazd do Buenos Aires zawdzięcza Felisiak chyba tylko temu, że miał tam bronić tytułu mistrzowskiego, zdobytego przed rokiem w Lozannie. Mistrza nie wypadało nie wysyłać. Ostatnie zawody nie wskazywały bowiem na wysoką formę młodego szpadzisty, świadczyły raczej o jej regresie. Klubowy trener Roberta z wrocławskiego AZS – **Adam Medyński** z wielką rezerwą oceniał przed wyjazdem szanse swojego pupila. Mówił, że nie liczy na wiele. Przerwy w treningach, brak wartościowych sprawdzianów i odpowiedzialność, jaka obarcza zawsze zawodnika występującego z pozycji obrony tytułu, to okoliczności niekorzystne. Fakt, że Robert jedzie do Buenos Aires jako jedyny reprezentant Polski, choć w towarzystwie swojego trenera, nie wpływały dodatnio na jego samopoczucie. A do tego nagła zmiana klimatu. Robert nie jest herosem i ma delikatny organizm... Przeskok z chłodnej polskiej wiosny w 30-stopniowy upał argentyńskiej jesieni, musiał odbić się na dyspozycji fizycznej szermierza.

A jednak mimo tych przeciwności (a może dzięki nim?) Robert Felisiak sięgnął po najwyższe trofeum.

SZYBSZY OD WIATRU

Argentyński dziennik „La Nacion" pisał o nim, że jest „szybszy od wiatru", eksperci przecierali oczy, kibice nie szczędzili braw, gdy błyskawiczne akcje Felisiaka, jego zaskakujące reposty i natarcia przynosiły trafienie za trafieniem. Najgorszy był początek turnieju. W pięknej hali „Obras Sanitarias" panował niesamowity upał, było duszno. Na zewnątrz też. Robert od przyjazdu chodził osowiały, był osłabiony i bez werwy tak koniecznej na planszy. Przez kilka dni ledwie coś przełknął. Wydawało się, że „polegnie" już na wstępie turnieju. Pierwsza walka wydawała się potwierdzać te obawy. Polak przegrał do zera. Potem było już lepiej, ale wciąż niezbyt dobrze. Robert ogrywał rywali lepszą techniką, doświadczeniem. Refleks miał zwolniony, szybkość, która jest jego wielkim atutem, mniejszą niż zwykle. Dopiero w trzeciej eliminacji jakby się ożywił. Organizm przystosowywał się stopniowo do nienormalnych warunków klimatycznych, wracały siły. Z walki na walkę Robert spisywał się lepiej, a w finale przeszedł samego siebie.

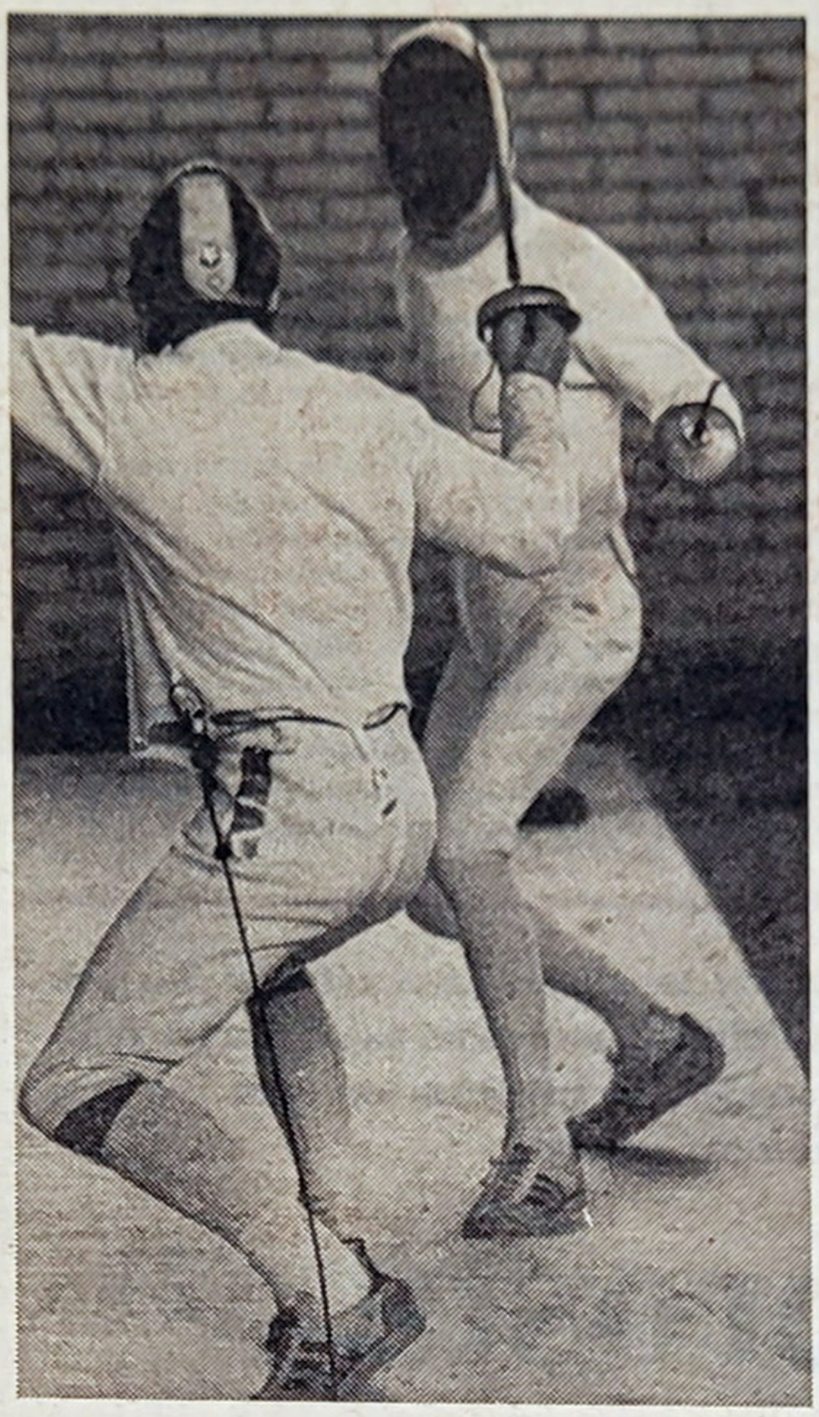

Węgra Impre Csabaia pokonał 10:4, Armena Nawasardiana z ZSRR w tym samym stosunku, Niemca Joachima Maunza – jeszcze wyżej 10:3. W pojedynku o złoty medal naprzeciwko Polaka stanął znany Francuz Jean Michel Henry. Rywal zadał pierwsze trafienie, ale dotrzymał kroku Polakowi tylko do stanu 2:2. Nagle zrobiło się 9:4 dla Felisiaka, który wygrał 10:6, nie będąc przez moment zagrożony.

WROCŁAWSKA SZKOŁA SZPADY

Trener kadry juniorów – szermierzy, były mistrz świata we florecie **Marek Dąbrowski**, śledził mistrzostwa świata w Buenos Aires z Warszawy. Na poprzednich, w Lozannie towarzyszył Felisiakowi i zna jego walory na wylot. Zdaniem Dąbrowskiego szermierka Roberta opiera się na dużym tempie akcji, refleksie i specyficznym stylu. Ten styl jest charakterystyczny dla wszystkich podopiecznych trenera Medyńskiego i zyskał już sobie nawet przydomek „wrocławskiej szkoły szpady". Uczniami Medyńskiego są między innymi Swornowski, Strzałka, Lis i kilku jeszcze czołowych szpadzistów kraju. Żadnemu jednak ze starszych kolegów Roberta nie udało się dokonać podobnej sztuki, chociaż w bezpośrednich pojedynkach często wygrywają z Felisiakiem. Robert posiada bowiem rzadką w sporcie zaletę – im wyższa stawka, tym walczy lepiej. Umiejętność mobilizacji i maksymalnej koncentracji w najważniejszych momentach, to cecha, która znamionuje mistrzów, cecha wrodzona, której nie można wypracować. Jest jeszcze w szermierce Roberta coś, co trudno określić, a mianowicie tkwiący w podświadomości instynkt walki.

Jakby zażenowany swym wyczynem wraca do kraju. Teraz czeka go niełatwy okres. Robert kończy wiek juniora i rozpoczyna dorosłe życie sportowe. Rywale są trudniejsi, groźniejsi, bardziej rutynowani i sprytni. Niełatwo będzie walczyć o prymat, nawet w kraju.

Najbliższym celem Roberta jest awans do reprezentacji Polski na mistrzostwa świata seniorów, które odbędą się w lipcu tego roku w Rzymie. A tam, w „Wiecznym Mieście", każdy przeciwnik to szpadzista wysokiej klasy. Czy młody wrocławianin zda szermierczy egzamin dojrzałości? Czy zdobędzie przebojem światowe plansze także wśród seniorów? Fachowcy twierdzą, że jest to możliwe, bowiem w tej broni o niespodzianki najłatwiej. Dlaczego? Zdaniem Andrzeja Piątkowskiego, świetnego przed laty szablisty, podstawą osiągnięć we florecie jest – technika, w szabli – taktyka, a w szpadzie – koncentracja i wyczucie tempa. Te zaś zależą od nastroju, samopoczucia i wrodzonych predyspozycji. Robert Felisiak samopoczucie ma znakomite, kompleksów nie posiada, a w Rzymie nie będzie miał nic do stracenia.

TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. **M. Sokołowska-Michalska**

m/t „CARINA"

TRAWLER-PRZETWÓRNIA B-22

23 sierpnia 1966 r. położono stępkę pod motorowy trawler-przetwórnię dla Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Dalmor" w Gdyni. Statek przystosowany jest do rufowego połowu ryb w rejonach płn.-zach. Atlantyku, do ich mechanicznej obróbki, przetwórstwa, zamrażania filetów względnie tuszek oraz do transportu produktów w ładowniach. Na pokładzie B-22 znajduje się fabryka mączki rybnej. Z wątróbek produkowany jest tran. Trawler B-22 otrzymał instalację elektryczną na prąd zmienny, zautomatyzowaną obsługę siłowni, a także centralę manewrowo-kontrolną automatycznie rejestrującą wszelkie wskaźniki i parametry maszyn. Po raz pierwszy też statek budowany w Stoczni Gdańskiej otrzymał tzw. „gruszkę dziobową" – części podwodnej dziobu nadano gruszkowaty kształt, co zmniejsza kołysanie statku i pozwala na osiąganie większej szybkości. Projekt statku opracował zespół specjalistów pod kierownictwem głównego konstruktora mgr. inż. Włodzimierza Piltza.

W dniu wodowania – 30 listopada 1966 r. pierwszej jednostce nadano imię „Carina" (czyt. Karina), statek oddano do eksploatacji 3 grudnia 1967 r. Długość całkowita m/t „Carina" wynosi – 88 m, szerokość – 14,50 m, zanurzenie – 5,25 m, nośność – 1500 DWT, pojemność – 3000 BRT. Moc silnika głównego – 2500 KM, prędkość 13,8 węzła, autonomiczność pływania – 90 dni. Załoga składa się z 44 osób. Ogółem oddano do eksploatacji 18 jednostek B-22, w tym dla Polski – 7.

Fot. **Wiesława Mroczek**

KUPON KONKURSOWY WYTNIJ ZACHOWAJ

17

OD „SOŁDKA" DO „DARU MŁODZIEŻY"

O tym, który sam buduje okręty...

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Niektórzy wykonują okręty dla samej tylko satysfakcji, dla popisania się przed innymi swoimi często jakże wszechstronnymi i jakże precyzyjnymi umiejętnościami wykonawczymi. Dla tej grupy modelarzy są nawet organizowane konkursy i zawody – krajowe, a też międzynarodowe – na których rywalizują pomiędzy sobą i na których wyłaniany jest mistrz tej umiejętności. W Polsce niełatwo nim zostać. Aby się o tym przekonać, przypatrzcie się uważnie opublikowanym zdjęciom modelu polskiego statku pożarniczego „Strażak", wykonanego przez Romana Kobierskiego, jednego z czołowych polskich modelarzy okrętowych.

Roman Kobierski zaczął uprawiać modelarstwo okrętowe już w IV klasie szkoły powszechnej, od 1957 roku był uczestnikiem modelarni warszawskiego Pałacu Młodzieży. Jego pierwsze modele były bardzo proste, lecz już wtedy ujawnił duże zdolności i dlatego otrzymywał do wykonania modele coraz to trudniejsze i wymagające większej precyzji. Początkowo wykonywał też modele czysto zawodnicze, np. w 1959 roku brał udział w regatach modeli żaglowych, w których znalazł się w pierwszej dziesiątce zawodników, co dla tak młodego modelarza było niewątpliwym sukcesem. Ale więcej zamiłowania przejawiał dla modelarstwa tzw. redukcyjnego, to znaczy dla wykonywania zmniejszonych kopii statków i okrętów. Ma na swoim koncie już wykonane modele następujących statków i okrętów: żaglowego okrętu szkolnego naszej marynarki wojennej ORP „Iskra" w skali 1:50, okrętu podwodnego ORP „Dzik" – w skali 1:100, niszczyciela ORP „Burza" – w skali 1:200, historycznych żaglowców: „Cutty Sark" (1:100) i „Santa Maria" (1:50).

Jego ostatnim dziełem jest przedstawiany na zdjęciach model „Strażaka" wykonany w dwudziestopięciokrotnym zmniejszeniu. O precyzji wykonania tego modelu najlepiej świadczą zdjęcia niektórych jego szczegółów. Model ten jest również pływający – z napędem – i w dodatku zdalnie sterowany falami radiowymi. Na radiowy rozkaz wykonuje w sumie 36 czynności; pływa do przodu ze zmienną prędkością jak też i do tyłu, jest sterowany sterem oraz śrubami dzięki czemu ma bardzo wysoką manewrowość. Na rozkaz zapalają się światła oświetlenia zewnętrznego i wewnętrznego. Działka wodne obracają się wokół pionowej osi i „strzelają" strumieniami wody, którą miniaturowe pompy pobierają przez otwory denne rozmieszczone w poszyciu kadłuba, poniżej jego linii wodnej.

Model taki, biorący udział w zawodach, jest tam oceniany nie tylko od strony wykonania, to znaczy wierności odtworzenia szczegółów, lecz musi też zaprezentować swoje możliwości manewrowe. Musi przebyć dość skomplikowaną trasę wyznaczoną bojkami, łącznie z pływaniem do tyłu itp. „Strażak" Romana Kobierskiego, w zawodach 1980 roku za wykonawstwo uzyskał najwyższą punktację (92 p. na 100 p. możliwych do uzyskania) i otrzymał nagrodę im. S. Woźniaka. Wykonanie tego modelu trwało około 3 lata. Jest to dużo i mało. Dużo – jeśli się bierze pod uwagę czas powstawania takiego statku naturalnej wielkości. Ale tam, w stoczni pracują setki ludzi i wiele wytwórni kooperujących. Tu zaś wszystko wykonuje własnoręcznie jeden człowiek. Tam pracuje wielu specjalistów z różnych dziedzin, tu modelarz musi być wszechstronny. Musi się znać na różnych materiałach i różnych technologiach wykonania. Musi umieć wykorzystywać różne narzędzia i mieć opanowane umiejętności pracy na różnych obrabiarkach przeznaczonych do obróbki drewna jak i rozmaitych metali: musi też znać technologie łączenia metali i ich odlewania oraz możliwości kryjące się w nowych tworzywach sztucznych. Zatem okres budowy tego modelu należy uznać za krótki, jeśli się weźmie pod uwagę, że jest on wykonywany wyłącznie w czasie wolnym modelarza, przeważnie zatrudnionego w innych dziedzinach. Np. Roman Kobierski jest pracownikiem Zakładu Samolotów i Śmigłowców Politechniki Warszawskiej. Zaś w godzinach popołudniowych prowadzi modelarnię okrętową warszawskiego Pałacu Młodzieży. Aktualnie, w czasie wolnym (!!!), pracuje nad modelem francuskiego pancernika „RICHELIEU" wykonywanym w stukrotnym zmniejszeniu. Niektóre jego elementy są wykonywane przy użyciu... lupy.

LESZEK KOMUDA
Fot. **J. Łopszyński**

Może się wydawać, że za chwilę przy tym działku wodnym stanie jego obsługa...

Twórca modelu i jednocześnie instruktor warszawskiego Pałacu Młodzieży wraz ze swoimi wychowankami, być może w przyszłości również twórcami podobnych „statków"

Zamiast o ilustracjach pisać, powinno się je oglądać w książkach. Ale książek na rynku coraz mniej, w bibliotekach też pustawo, więc... może warto? Tak właśnie postanowiłam uzasadnić rozmowę z MATEUSZEM GAWRYSIEM, jednym z redaktorów artystycznych wydawnictwa „Nasz księgarnia".

STO KWIATÓW W BUKIECIE

– Piętnaście lat temu, kiedy zaczynałam poznawać świat, bardzo lubiłam dreptać za mamą do księgarni. Tam, na ladzie, czekały na mnie kolorowe książeczki z „Naszej Księgarni". Książeczki cacka – do których oczy śmiały się już na sam widok okładki. Wydawnictwo zawsze bardzo dbało o szatę graficzną książek dla dzieci. Właściwie dlaczego?

– Bo poprzez ilustrację książkową odbywa się pierwszy autentyczny kontakt ze sztuką. Każde dziecko jest od urodzenia

Elżbieta Gaudasińska

znakomitym plastykiem, twórcą. Więc traktujemy dzieci poważnie. Wiemy, że każde z nich ma „radość koloru", że bogactwo, nawet pozorny chaos ilustracji, nie jest dla dziecka czymś odstraszającym, tylko daje mu radość wyszukiwania, wybierania. I nawet pewne „udziwnianie", deformowanie przedmiotu czy postaci nie przeszkadza, bo dzieci mają fantazję i widzą świat trochę inaczej niż dorośli. Wiemy też, że dzieci nie znoszą, kiedy ilustrator mizdrzy się do nich albo kiedy imituje dziecięce rysunki – natychmiast wykrywają fałsz. I te podstawowe prawdy staramy się stosować na co dzień, w pracy wydawniczej.

– Ale przyzna pan, że dość daleko odeszliście dziś od „klasyki" ilustratorskiej typu Szancera, Srokowskiego, Grabiańskiego czy obecnego szefa artystycznego wydawnictwa – Rychlickiego... Ja nie chciałabym, żebyście stale powielali te same schematy, ale czasem zdaje mi się, że te nasze ilustracje są trochę zbyt trudne dla dzieci, zbyt chaotyczne.

– Pewna dekoracyjność, nawet groteskowość – czyli deformacja, czasem nawet karykaturalna – to wszystko jest dla dzieci czytelne. Dorośli rzeczywiście często stawiają nam takie zarzuty, że ilustracje są zbyt trudne, zbyt wyrafinowane. Tylko kiedy próbujemy to sprawdzić w bezpośrednich kontaktach z dziećmi, okazuje się, że one te super trudne rzeczy rozszyfrowują... Bo przecież środki masowego przekazu – radio, telewizja, popędzają jakby dzieci w rozwoju umysłowym. Takiemu czytelnikowi – jeśli chce się go zaciekawić, pobudzić do myślenia – nie można proponować schematów. Trzeba coraz bardziej podnosić poprzeczkę.

Andrzej Strumiłło

– Tylko jeśli świat „atakuje" coraz bardziej, przynosi codziennie mnóstwo nowych informacji, nowych wrażeń, stawia dziecko wobec pewnego chaosu, to czy nie książka właśnie powinna być takim spokojnym, harmonijnym azylem? W ilustracji coraz więcej różnego rodzaju deformacji... A przecież kiedy bierze się do ręki jakąś banalną bajkę o królewnie, to chciałoby się, żeby ta królewna była taka śliczna jak jest opisana, taka śliczna, żeby chciało się tą królewną zostać... Myślę, że istnieje taka dziecięca tęsknota do pewnej „ładności".

– Może i ma pani rację. Najlepsze rozwiązanie byłoby wtedy, gdyby udało się pogodzić coś troszkę groteskowego, zabawnego i ładnego jednocześnie. Tylko nie ładnego w wydaniu żurnalowym, disnejowskim, słodkim... Raczej takie połączenie fantazji, dekoracyjności, sympatyczności i ładności... Zresztą rozwiązań będzie tyle, ilu artystów. Bo gdybyśmy założyli, że mamy już jakiś – najlepszy nawet – wzorzec i teraz będziemy go już tylko powielać, to byśmy chyba przesadzili. Bo może dziecku byłoby wtedy łatwiej, ale czy nie zubożalibyśmy jego spojrzenia?

– Ale jeśli dzieci te nowe propozycje odrzucą? Wciąż zastanawiam się nad tym, czy ilustracje nie są robione przez dorosłych dla dorosłych. I to dla takich, którzy mają już pewne plastyczne przygotowanie, swobodnie poruszają się w różnych prądach, technikach...

– Ależ musi być te sto kwiatów w bukiecie! Musi być z czego wybierać! Być może do wielu książek dzieci się nie przywiązują, ale sądzę, że musimy dbać właśnie o to, żeby był cały wachlarz propozycji. Oczywiście przy założeniu, że pewne minimum prostoty będzie zachowane i nie przerodzi się w prostactwo, a z drugiej strony, że ta górna granica też będzie wyznaczona. Żebyśmy nie drukowali ilustracji, w których widać tylko samouwielbienie artysty. Dlatego dbamy o to, żeby tych stu ilustratorów zawsze było blisko wydawnictwa, żeby utrzymywać z nimi kontakt. Największy wybór mamy w grupie książek dla dzieci najmłodszych, takich gdzie można najswobodniej fantazjować. Choćby Gaudasińska, Michałowska, Stanny, Wilkoń, Boratyński. No i oczywiście pierwsza dama polskiej ilustracji – Olga Siemaszkowa. Chętnie też ilustrują dla najmłodszych „szpilkowcy" – Lutczyn czy Dudziński. Podchodzą do ilustracji może trochę bardziej drapieżnie, współcześnie, ale też ciekawie. Dla starszych realistyczne, trochę romantyczne ilustracje robi Janecka, bardzo męski, lubiący ruch Rozwadowski czy świetnie czujący się w każdym temacie Strumiłło. No, ale przecież nie mogę wymieniać tu wszystkich naszych kolegów...

– Myśli pan, że są wśród nich tacy, których po latach będzie się wspominało z takim rozrzewnieniem jak Szancera, Srokowskiego, Grabiańskiego? Z nimi wiążą się przecież nierozerwalnie pewne książki, które dość trudno wyobrazić sobie teraz z innymi ilustracjami...

– Myślę, że czasy „królów ilustracji" chyba już minęły, Szancer i jego „Brzechwa dzieciom", Srokowski z królem Maciusiem, Grabiański z Sierotką Marysią, to były tak silne indywidualności, że jakby nadawały ton całemu rynkowi ilustracji. A teraz i w literaturze dziecięcej i w plastyce nastąpił moment pewnego...

– ... załamania?

– Nie. Tylko wyrównania poziomu, stabilizacji. Jest więcej rzetelności, fachowości u ludzi, których można by nazwać przeciętnymi – co broń Boże nie znaczy miernymi. Po prostu nie ma takich wybuchów ponad ten dobry, średni poziom. Ale ja się tym nie martwię. Bo normalna, codzienna produkcja jest dobra...

– ... i bardzo ceniona za granicą. Na Międzynarodowym Biennale Ilustracji w Bratysławie co roku zdobywamy albo Grand Prix, albo Złote Jabłka albo medale...

– I to jest nawet dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę, że nasze książki są drukowane chyba najgorzej na świecie...

– Skąd więc to uznanie dla naszych ilustratorów?

– Gdzieś w latach sześćdziesiątych zaczęło nas wyróżniać to, że wszystkie środki stosowane w malarstwie, grafice, całej plastyce przenieśliśmy do ilustracji dziecięcej. Polska ilustracja, to zawsze były normalne obrazy malowane dla dzieci. Obrazy o specjalnej formie i roli, ale uczciwe artystycznie. Wtedy prawie nikt na świecie nie traktował tak poważnie książki dziecięcej. Albo niewolniczo trzymano się pewnych elementów sztuki ludowej, albo uproszczeń typu czarna kreska wypełniona kolorem, albo disnejowskich grymasów... Z jednej strony była tradycja bardzo dosłownej, ciężkiej w rysunku i realistycznej ilustracji niemieckiej. Z drugiej – świetnej rysunkowo, finezyjnej kreskówki angielskiej. Potem był zalew disnejowski, który bardzo zaciążył na gustach i przeszedł w opracowania typu komiksowego. A na taką malarską, kolorową, wrażliwą sztukę prawie nie było miejsca. Robiliśmy to właśnie my, Czesi, Jugosłowianie... Teraz ta filozofia malarstwa dla dzieci została kupiona przez świat i nie jest już wyłącznie naszą cnotą. Być może nawet zbledliśmy przez to trochę na światowym tle...

– Ale wciąż jesteśmy na dobrej, światowej średniej. I wypadałoby tylko życzyć wydawnictwu, żeby kłopoty z papierem, farbami, maszynami drukarskimi, z samofinansującymi się drukarniami, którym może się nie „opłacać" robienie książek dla dzieci, nie zniszczyły tego ogromnego dorobku ilustratorskiego. Życzę tego w imieniu czytelników, którzy czekają na książki.

ANNA MIESZCZANEK

Janusz Stanny

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

HRABIOWSKI SAMOCHÓD STETYSZ

Samochód osobowy „RALF-STETYSZ", bo taka była jego pierwotna nazwa, powstał w latach 1924–1925. Jego konstruktorem był hrabia Stefan Tyszkiewicz, który, po ukończeniu we Francji studiów technicznych i odbyciu w tamtejszych wytwórniach odpowiednich praktyk założył w Paryżu własny warsztat pod nazwą: „Rolniczo-Automobilowo-Lotnicza Fabryka Stefana Tyszkiewicza" (nazwa samochodu pochodzi od skrótu nazwy firmy). Już z tej nazwy widać, że zamiarem założyciela firmy było nie tylko produkowanie samochodów, zaś jego gruntowne przygotowanie techniczne świadczyło też, że nie była to tylko jakaś „hrabiowska fanaberia". Może wzorował się na innym polskim arystokracie działającym na tym polu we Francji, gdzie prezesem jednego z największych koncernów przemysłowych – Hispano Suizy – produkującego samochody, silniki lotnicze i uzbrojenie, był przecież książę Poniatowski.

Inż. Tyszkiewicz najpierw opracował i własnymi środkami zbudował silnik samochodowy, w którym wykorzystał najnowsze ówczesne osiągnięcia techniczne w tej dziedzinie. Następnie zamontował go w samochodzie również opracowanym przez niego i też w jego warsztacie wykonanym. „RALF-STETYSZ" był też dwukrotnie – w 1926 i 1927 roku – wystawiany na Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Paryżu. Tam swoimi zaletami zyskał opinię samochodu tzw. „kolonialnego", a więc doskonałego na wszelkie bezdroża.

Od strony konstrukcyjnej „STETYSZ" (bo jego nazwę potem skrócono) nie reprezentował żadnych nowości technicznych. Ale zastosowane w nim wypróbowane rozwiązania konstrukcyjne dawały większą gwarancję w miarę niezawodnego użytkowania w przecież dość ciężkich warunkach dróg i klimatu polskiego. Bowiem nie był to, jak to wynikać mogło z przyczepionej doń etykietki, samochód przeznaczony do używania w koloniach, lecz miał być używany w Polsce, dokąd Tyszkiewicz zamierzał się przenieść. Dlatego konstruktor tego samochodu przede wszystkim zwrócił uwagę na prostotę i dostępność zespołów, łatwość wymiany i reperacji części, odporność zawieszenia, przystosowanie wymiarami do polskich dróg.

Później zbudował jeszcze dwie odmiany tego samochodu – oznaczone T.C. i T.A. wyposażone w seryjnie produkowane silniki firmy Continental.

A oto dane techniczne. Silniki: w prototypie czterocylindrowy o wymiarach 85×130 cm i bloku dwuczęściowym (osobny blok karteru i cylindrów); w odmianie T.C. – sześciocylindrowy o wymiarach 70×120 cm i pojemności 2760 cm³, w T.A. – czterocylindrowy o wymiarach 69×100 cm i pojemności 1500 cm³.

Wymiary: Rozstaw osi – 3,36 m, rozstaw kół – 1,44 m, prześwit – 0,27 m.

W początku roku 1929 koła polskich „automobilistów" zostały zelektryzowane dwiema wieściami: pierwszą – że start do gwiaździstego Rajdu do Monte Carlo, dla jego uczestników ze wschodniej i środkowej Europy, odbędzie się w Polsce ze Lwowa, i drugą – że weźmie w nim udział samochód polskiej konstrukcji, właśnie Stetysz. Samochód ten w Polsce był już znany z udziału w kilku rajdach organizowanych w naszym kraju oraz z racji swoich szczególnych właściwości, za które zdobywał liczne nagrody. Już w IV Rajdzie Automobilklubu Polski, w 1925 roku, zdobył złoty medal, nagrodę ufundowaną przez Ministra Robót Publicznych przeznaczoną dla *„maszyny, która po tym rajdzie okaże się w najlepszym stanie"*. Nagroda ta nie bez powodu była przeznaczona „za najlepszy stan" samochodu po rajdzie, bowiem pokonać ówczesne „polskie drogi" naprawdę mógł tylko samochód o szczególnej wytrzymałości. A jak ostatecznie było, przedstawia prasowa relacja z podobnego rajdu, w 1928 roku: *„... i znowu „polska droga", ale w błocie po kolana. Tutaj Stetysze pokazują co potrafią. Bez trudu, bez wysiłku, zblokowawszy dyferencjały, przejechały spacerkiem kilkunastokilometrowy szmat błota między Dubnem a Błotami"* i dalej ocena tego samochodu: *„... maszyny te przynoszą zaszczyt polskiemu przemysłowi samochodowemu. Są wytrzymałe w podwoziu, doskonałe na wszystkie bez wyjątku drogi polskie, silne i co najważniejsze nie obawiają się dużej wagi swoich pasażerów, czego o innych samochodach powiedzieć nie można"*. W rajdzie tym Stetysz zdobył więcej nagród niż w poprzednim, wśród nich też ufundowaną przez SKF – szwedzką wytwórnię łożysk. A że, jak mówi znane porzekadło: apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc Stetysz został też zgłoszony do rajdu, do Monte Carlo. Skład jego załogi był następujący: kierowca – hrabia Stanisław Ostroróg-Gorzeński, mechanik – hrabia Stefan Tyszkiewicz. Z przyczyn atmosferycznych start do rajdu został przeniesiony do Warszawy, trasa do Monte Carlo biegła przez Berlin, Brukselę i Paryż. Z ogólnej liczby sześćdziesięciu trzech startujących w rajdzie samochodów do Paryża dotarły tylko 23 samochody. Z Warszawy miało wystartować 6 załóg, do Paryża w przepisowym czasie dotarły tylko dwie, ale polskie, w tym i załoga Stetysza. Obie załogi znalazły się w czołówce, i tamtejsza prasa wysuwała je jako kandydatów do pierwszej nagrody. Jednak prognozy te pokrzyżowała mgła i... kiszka. Beznadziejna mgła, jaka nagle zapadła nad środkową Francją, zmogła wysiłki tej drugiej polskiej załogi. Pierwsza, właśnie na Stetyszu, miała więcej szczęścia, ale tylko do czasu. Z Paryża startowali jako jedni z pierwszych, toteż kłopoty z mgłą, która wystąpiła trochę później, ich ominęły. Za to zaczęły się kłopoty z... kiszką, lecz nie samochodową. Nagły atak ślepej kiszki kierowcy Gorzeńskiego był tak ostry, że musiano go ostatecznie umieścić w szpitalu. Toteż miejsce kierowcy zajął Tyszkiewicz i – tak jak tego wymagał regulamin rajdu – obciążywszy samochód odpowiednim dodatkowym balastem wyruszył w dalszą drogę. Niestety straconego czasu już nie zdołał nadrobić, do mety dotarł jako piąty spóźniony, zaś rajd ukończyło tylko 23 samochody.

LESZEK KOMUDA

Akwarium (18) dla każdego

O ROZMNAŻANIU I INNYCH WAŻNYCH SPRAWACH

Po wznowieniu naszego kącika napłynęło znów do mnie dużo listów. Jak wiadomo – nie odpowiadam listownie, tylko w gazecie. I to również nie na dosłownie każdy list, ale na grupy problemów, których te listy dotyczą. Przekonacie się o tym po dzisiejszym – nieco rozszerzonym odcinku.

„Towarzyskie" czy jednogatunkowe?

Pisze do mnie **Janina Kwiat** z Trójmiasta: *„W moim akwarium mam gupiki, brzanki, neonki, kardynałki oraz gurami, takie z wąsami. Proszę mi poradzić, jakie jeszcze rybki mogę hodować razem z nimi. Najgorsze, że żadne z trzymanych przeze mnie rybek nie chcą się rozmnażać, co mam robić?"* No, właśnie, w akwarium Janki jest istny zwierzyniec. Trzeba się na coś zdecydować i utrzymywać albo akwarium „towarzyskie" – rys. A (wtedy rezygnujemy w zasadzie z racjonalnego rozmnażania ryb), albo akwarium jednogatunkowe – rys. B (np. z samymi gupikami lub samymi brzankami). Dlaczego kontrolowane, prawidłowe rozmnażanie w zbiorowym akwarium jest raczej niemożliwe? A choćby dlatego, że niemal każdy gatunek wymaga nieco innych, ale bardzo ważnych, zmian w warunkach, sprzyjających rozmnażaniu. Np. dla przeprowadzenia prawidłowego tarła gurami dwuplamistego konieczne jest obniżenie poziomu wody w akwarium, niekiedy nawet do 15 cm. A w takich warunkach źle się czują znajdujące się w tym samym zbiorniku np. mieczyki. W dodatku gurami lubią przy tarle temperaturę wody ok. 30°C, a dla mieczyków jest ona raczej za wysoka. Jeśli nawet dojdzie do tarła gurami, to samiec może w czasie opieki nad gniazdem z piany pokaleczyć a nawet pozabijać rybki innych gatunków. A więc: z czegoś trzeba zrezygnować...

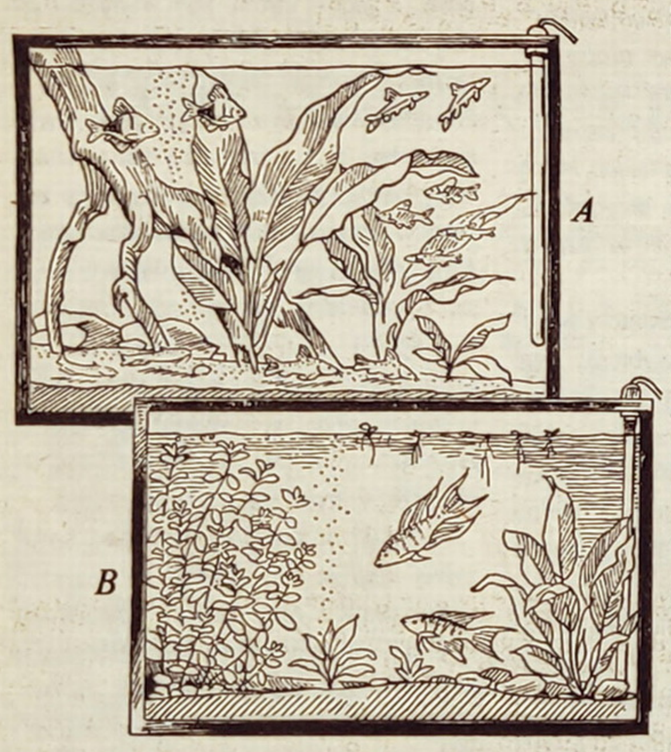

I znów o cenach

Wcale się nie dziwię że **Waldek Sikora** z Lublina oraz aż 32 innych młodych akwarystów zapytują mnie o aktualne ceny ryb i przyborów akwaryjnych, bo teraz wszyscy nauczyliśmy się liczyć. Odwiedziłem jeden ze sklepów akwaryjnych (spółdzielczy) w Warszawie i oto co zanotowałem. Najdroższe ryby – to „modne" glonojady – po 160 zł sztuka. Kirysy – 60 zł, brzanki sumatrzańskie, danio pręgowane, welonki 2-cm – po 40 zł (młode, dobrze „wychowane"). Najzwyklejsze gupiki po 20 zł, ślimaki – od 10 zł sztuka. Akwaria: 84-litrowe – 1452 zł, 30-litrowe – 926 zł, 15-litrowe – 741 zł; mowa o akwariach ramowych. Natomiast akwaria klejone, bez ram, kosztują następująco: 25-litrowe – 600 zł, 30-litrowe – 700 zł, 40-litrowe – 800 zł, 50-litrowe – 900 zł, 60-litrowe – 1000 zł. Podstawa metalowa – stojak pod akwarium – 852 zł. Pozostałe ceny nie różnią się zasadniczo od tych, które podałem w poprzednim odcinku „Akwarium dla każdego". W dalszym ciągu proszę o wiadomości w sprawie cen akwaryjnych na Waszym terenie.

Okropny kożuch na wodzie!

Piotr W. z Warszawy, **Halina Knap** z woj. białostockiego, **Ela Witoska** z „okolic Zakopanego" skarżą się, że na powierzchni wody w ich akwariach tworzy się „brzydki kożuch", z którym nie wiadomo co robić. Akwarystyka zna to zjawisko i umie mu przeciwdziałać. Na powierzchni wody w akwarium tworzy się niekiedy szarawa lub biała błonka z tęczowym połyskiem. Powstaje ona pod wpływem pyłu z powietrza, kurzu, na którym rozwija się mikrofauna złożona z wymoczków, ameb i bakterii. Błonka utrudnia przenikanie powietrza atmosferycznego do wody w akwarium, zanieczyszcza rybom skrzela, sprzyja procesom gnilnym. By ją usunąć, kładziemy na powierzchni wody taki kawałek papieru gazetowego, by ją zupełnie przykrył. Czekamy chwilę, póki nie nasiąknie i zaraz podnosimy ostrożnie za jeden z krótszych brzegów. Usuwamy w ten sposób przywartą do papieru błonkę. Jeśli pozostaną na powierzchni resztki „kożucha", powtarzamy całą operację używając już mniejszych kawałków papieru. A jak przeciwdziałać? Po prostu – trzeba nakrywać akwarium kawałkiem szkła (szyby) lub obudową, w której mieści się również oświetlenie.

Jak się rozmnaża mieczyki?

O wyjaśnienie i rady w sprawie rozmnażania mieczyków w akwarium prosi **Jacek Woch** z Toruńskiego, **Marian R.** z Warszawy, **Karol Misiak** z woj. katowickiego oraz inni początkujący akwaryści. Chętnie opiszę te sprawy tym bardziej, że dotyczą one nie tylko mieczyków, ale i innych żyworodek (np. gupików, platek, drobniczek itp.). A więc mieczyki Hellera należą do ryb żyworodnych – dokładniej: jajożyworodnych. Nie składają one jaj do wody, lecz rozwój ich odbywa się wewnątrz matki. Zapłodnienie następuje więc nie w wodzie, jak u ryb miotających ikrę, lecz wewnątrz ciała samicy, dokąd samiec musi wprowadzić „mleczko". Do tego właśnie u samczyków żyworodków służy płetwa odbytowa przekształcona w dość długą rurkę lub rynienkę. Mieczyki są niewątpliwie jednymi z najefektowniejszych żyworodek. Płetwa ogonowa samczyka tworzy w dolnej części mieczowaty wyrostek, niemal tak długi, jak sama rybka. Samiczka nie ma miecza. Dla prawidłowego rozwoju wybranej pary konieczne jest karmienie pokarmem urozmaiconym (rozwielitki, larwy komara, rureczniki oraz pokarm suchy i sztuczny), a także odpowiednia temperatura i dobre „przewietrzanie" akwarium. W naszych warunkach wystarczy ustalić temperaturę na 20–22°C. O zbliżaniu się pory rozmnażania świadczy tusza samiczki i zjawienie się ciemnej plamki w dolnej części ciała przed płetwą odbytową. Kiedy samiczka jeszcze bardziej napęcznieje, trzeba ją ostrożnie przełożyć do innego akwarium lub oddzielić od niej samca, by zapewnić jej spokój. Mieczyki rodzą się zupełnie ukształtowane i dość duże. Są całkowicie samodzielne, ale muszą być natychmiast oddzielone od rodziców, którzy prześladują i chciwie zjadają swoje potomstwo. Jeśli oddzielenie jest niemożliwe, trzeba uprzednio obsadzić akwarium dużą ilością roślin. Wskazana jest salwinia lub wgłębka, rośliny pływające, w ich gąszczu ukryją się przed rodzicami młode mieczyki. Karmimy je najdrobniejszym planktonem oraz małymi porcjami zgniecionej w palcach „mąki" z suszonych dafni i wawilu. Po 15 dniach małe mieczyki powinny podwoić swoje wymiary.

Samiczka mieczyka po pewnym czasie może rodzić po raz drugi bez powtórnego zapłodnienia.

Tyle porad na dziś. Wasze listy – wciąż mile widziane!

DANIO MALABARSKI

GUPIK, pawie oczko. Łać.

nazwa naukowa *Poecilia reticulata* (w starszych podręcznikach akwarystyki umieszczana pod nazwą *Lebistes reticulatus*). Niektórzy hodowcy nazywają tę rybkę „gubik", „kubik" a nawet „gupiszek", są to zniekształcone, nieprawidłowe nazwy. Nazwa gupik pochodzi od nazwiska angielskiego hodowcy Guppy, który po raz pierwszy na pocz. bież. stulecia sprowadził tę rybkę do Europy. Gupik w naturze zasiedla gromadnie górne warstwy zarosłych, wolno płynących lub stojących wód Ameryki Środk., częściowo Południowej i okolicznych wysp. Przeciętna długość ciała dorosłych osobników: samicy – do 6 cm, samca – do 3 cm. Samiec jest smuklejszy i jaskrawo ubarwiony, z płetwą odbytową przekształconą w narząd kupulacyjny (podobnie jak inne żyworodki). Są to rybki dość mało wymagające, bardzo żywotne i zgodnie współżyjące również z innymi rybkami. Temperatura wody 20–24 stopnie C. Gupik jest wszystkożerny: zjada dafnie żywe i suszone, larwy komarów, doniczkowce i rureczniki, pokarm sztuczny i glony ze ścian i roślin akwarium.

Rozmnażanie podobne, jak u innych żyworodek (patrz rozmnażanie mieczyka w tekście obok). Samicę w zaawansowanej ciąży (trwa ona ok. 30 dni) umieszcza się w niewielkim akwarium obsadzonym roślinami o gęstych „pierzastych" liściach. Jest to miejsce ukrycia się dla narybku, który przychodzi na świat w ilości 4–80 sztuk i chroni się wśród roślin. Podobnie jak samiczka mieczyka, również samiczka gupika rodzi co 30–40 dni młode bez konieczności ponownego zapłodnienia. Radzi się na ogół oddzielać samicę od młodziutkiego narybku – jest ona bardzo żarłoczna. Młode karmimy przesianymi drobnymi dafniami – „pyłem", roztartym pokarmem suchym. Młode „obgryzają" również chętnie glony porastające akwarium. Po mniej więcej pół roku osiągają dojrzałość do ponownego rozmnażania się.

Po prostu szesnastka

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Że obóz jest dla Zawiszaka czymś, na co się czeka cały rok i co się później równie długo wspomina łatwo się zorientować, gdy tylko dotknie się tego tematu w rozmowie. Słyszy się od razu: „sami budujemy prycze i półki, a maszty u nas tak wysokie, że aż wystają ponad czubki drzew... pierwsze ognisko rozpalamy zeszłoroczną żagwią, dużo urządzamy gier terenowych, rajdów itp.".

„Nawet starzy Zawiszacy, którzy przyjeżdżają na nasze obozy i obserwują nas w akcji – z dumą opowiada dh Lesław Kuczyński, przyboczny chłopców – *przyznają, że niejedna z technik harcerskich jest u nas na poziomie przedwojennej podchorążówki."*

Wydawałoby się, że obóz, prawdziwie męska przygoda jest świetną okazją dla chłopców, by udowodnić swoją wyższość nad dziewczętami. Tymczasem Bractwo Czarnego Orła nie daje się tak łatwo pokonać. Druhny sprawnie posługują się młotkiem, wraz z chłopcami biorą udział we wszystkich nocnych biegach, w akcjach zwiadowczych. Lepsze są w rozpoznawaniu roślin, układają ładniejsze piosenki, a ich scenki dramatyczne przygotowywane na ognisko są z reguły dowcipniejsze. Dziewczęta mają też własny sposób szybkiego wdziewania munduru podczas alarmu. I w tym ich chłopcy jeszcze nie prześcignęli.

Dorota: *„Na każdym obozie od razu łatwo zauważyć, która z dziewczyn jest w domu traktowana ulgowo. Tutaj nie ma usprawiedliwień. Wszystko trzeba zrobić samemu. Dobrze jest znać się trochę na kuchni, umieć zmywać, dbać o porządek we własnych rzeczach. Niezaradnym i leniuchom obozowa szkoła bardzo się przydaje. Sami rodzice to widzą..."*

Gdy pytam o te wydarzenia obozowe, które im najgłębiej zapadły w pamięć, okazuje się, że jest ich bez liku. Mieści się tu i uroczyste przyrzeczenie harcerskie przyjmowane przez druha Zygę Wierzbowskiego, ale także nocny wypad do sąsiedniego obozu, lub nastrojowe ognisko z interesującą gawędą. Dla Pawła zaś, zastępowego Żubrów obóz kojarzy się głównie z „chatką", czyli noclegiem w wybudowanym przez zastęp z dala od obozowiska szałasie.

Nowo przyjęci do szczepu harcerze dopiero na letnim obozie poznają czym właściwie jest harcerska tradycja i obrzędowość. Gdy na corocznej choince, czyli spotkaniu kilku pokoleń Zawiszaków oraz rodziców harcerzy, wyświetlane zostają filmy zrobione na obozie, niektóre z przygód można będzie przeżyć jeszcze raz.

BOŻENA CZAJKA

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

...i jeżeli ci się nie spodoba twój portret, nie gniewaj się!... piszą mi dwie **Beaty, Jola i Henia**. Podoba mi się, a nawet jeśli trochę nie podoba to nie dam po sobie poznać, bo znam się na żartach! Całą czwórkę zapisuję do klubu.

*

...Miałeś rację pisząc, że „minimum kieszonkowe" Romka G. (1000 zł) rozpęta dyskusję! Kiedy to przeczytałam – byłam oburzona. Kogo dziś stać na takie sumy? Chyba rzeczywiście Romek jest jedynakiem, a rodzice są milionerami!

Moje „minimum" wynosi 300 zł:

a) 60 – ŚM
b) 24 – „Płomyk"
c) 50 – inne czasopisma
d) 50 – kino
e) reszta na drobne potrzeby, książki, lody itp.

Romek pisze, że *„głupio jest postawić swojej dziewczynie wodę stołową"*. Dlaczego? Ja wolę, kiedy mój chłopak *„stawia mi wodę stołową"* niż jakieś drogie prezenty. Czułabym się okropnie głupio. **Iwona** (15 lat)

Chyba Iwona ma rację z tą „wodą stołową"!

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

PS. Przyjmuję do Rzepklubu **Marka Truszkowskiego** za nadesłanie anegdotki, którą zilustrowałem poniżej.

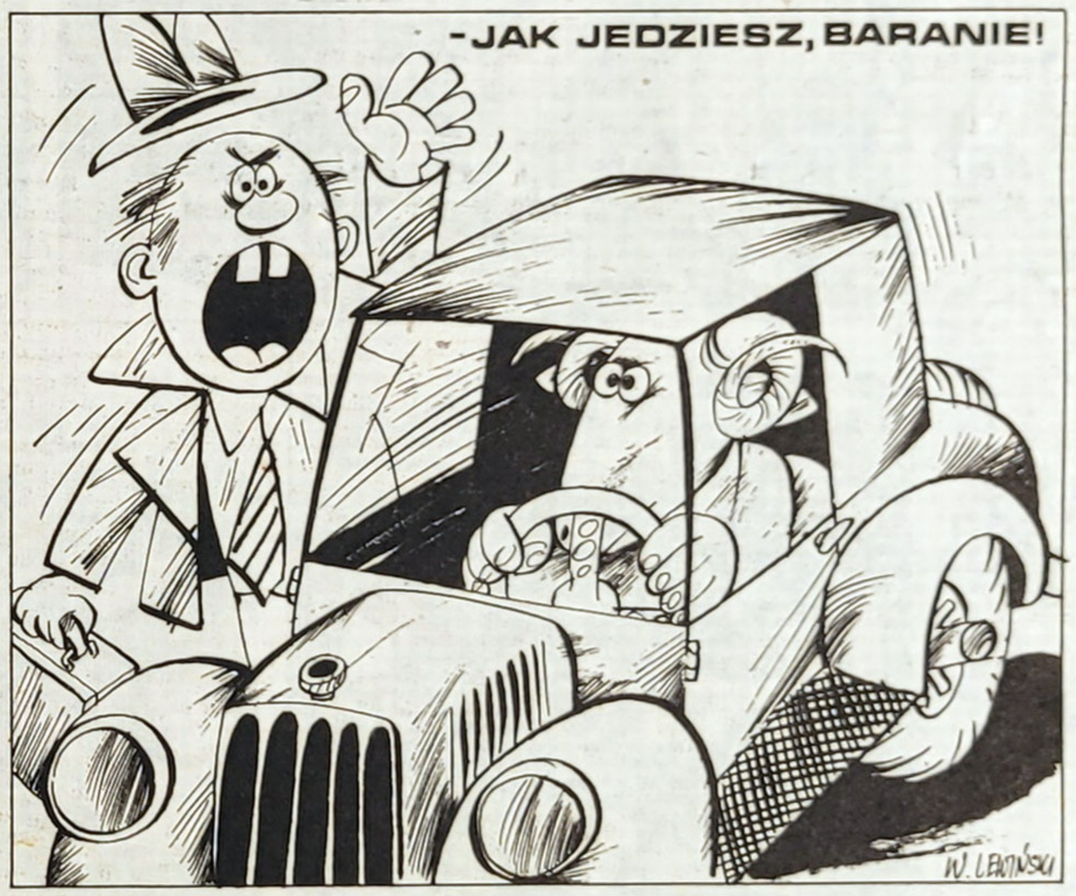

prowadzającego konie do zaprzęgu bryczki. Zabrakło czasu, by pożegnać rzekę.

Stanęła przy studni obok koryta do pojenia krów. Tu w czasie dyngusa chłopcy z czworaków oblewali wodą dziewczyny. Z wiader leciały strumienie, a gdy dziewczynę udało się umieścić w korycie, to już wszyscy święci mieli ją w opiece, która w dodatku na nic się nie zdała. Wtedy pełno było pisków, śmiechu i muzyki z organek, a Zuzanna i Gabrysia, pachnące po dyngusie wujka Huberta, grały na grzebieniach.

Tego ranka mgła zakryła sad i czworaki. Wszystko w niej się utopiło. Kształty i kolory zniknęły z oczu. Tak być powinno w dniu wyjazdu. Co miało przyjść, też było niewiadome, nieokreślone, a już zdecydowane, skoro opuszczali to, co było.

Zuzka szła od studni do domu jak do miejsca, w którym się zostawia wszystko, co najlepsze. Jakby to włożyła do trumny – tak czuła wchodząc na schody werandy.

– Niech panienka nie płacze – powiedział Olech. – Na lato tu zjadą i po zmartwieniu.

– Ale pomysł! – odcięła się. – Nie mam co robić?

Wzięła z werandy swoje najbardziej osobiste rzeczy. Nie oddała ich do zapakowania. Włożyła do torby antologię poezji i album do wpisywania na pamiątkę. W nim były ślady rąk Aliny, Krzysztofa, Tadka i Mirusi. I Mańci Anioł. Zdążyła ją o to poprosić przed wyjazdem z Podgórza. Ich wiersze i podpisy stanowiły prawdziwy skarb.

Zajęła miejsce w bryczce. Wcześniej odjechał wóz naładowany walizkami, których nie nadano na bagaż, bo to były rzeczy podręczne.

Zuzanna obok Gabrysi siedziała na ławeczce tyłem do woźnicy. W ten sposób raz jeszcze, a to już ostatni, mogła widzieć dom i ogród. Łacha wiślana przebłyskiwała między drzewami.

Ludzie z czworaków stali przy ogrodzeniu i z oddalenia przypominali ptaki, zebrane w stadzie. Jakby się naradzali przed odlotem. Ale stali tam i nie wybierali się w żadną drogę. Byli coraz mniejsi i nagle wszystko poszarzało.

Bryczka oddaliła się szybciej niż by kto chciał.

Gdy się odjeżdża i odjeżdża w nieznane, to samo w sobie jest tak niezwykłe, że musi budzić zaciekawienie. Jasne, że ci ludzie z Podłęża, którzy zniknęli już w oddali, musieli czuć onieśmielenie i podziw i może nawet trochę strachu, podobnego do tego, jaki czuła teraz Zuzanna.

Rodzice milczeli i w tej chwili nie matka ojcu, ale ojciec musiał wszystkim dodawać odwagi.

– Co miasto, to miasto, a najważniejsza nauka! Słyszycie dziewczyny?

INDIANKI Z REZERWATU

– Trudno powiedzieć, że się mieszka w mieście – zwróciła się Zuzka do Gabrysi ze złością i żalem.

Obydwie miały w pamięci Warszawę, jej światła, dzwonki tramwajów, wystawy sklepów. Spodziewały się tego samego w Białymstoku.

– Niewiele lepiej niż w Podłężu – stwierdziła Gabrysia.

– Gorzej! Tu jest okropnie. Nie ma na czym oka zaczepić. W Podłężu, mówisz? W Podłężu?! Lepiej nie przypominaj.

– Co miasto, to miasto. I będzie prawdziwa szkoła.

– Popatrz tylko. Chodź!

Stanęły na balkonie. Dom był jednopiętrowy, jedyny wyższy, jaki wybudowano w tej dzielnicy. I w ogóle ostatni na granicy pól i dzikich krzewów. W dole przy ogrodzeniu rosły topole, wysokie, szeleszczące liśćmi za każdym podmuchem wiatru. Dobrze, że były, ale jasne, że nie mogły się równać z najmarniejszymi drzewami Podłęża czy Podgórza. Przypominały raczej makiety niż drzewa, takie były martwe i smutne, gdy popatrzeć z balkonu.

Po lewej stronie znajdowały się owe krzewy poplątane i pola zarosłe trawą, a po prawej małe domki bezładnie rozrzucone. Te domki w końcu pozbierały się w jakąś ulicę, która wiodła do większych, otwierających miasto.

Tam się kończył piach, a zaczynały okrągłe kamienie jezdni, oddzielonej od chodników rynsztokami, niezależnie od pogody wypełnionymi strużkami ciemnej wody. Niekiedy rynsztokami płynęły mydliny.

Znacznie później odsłoniły się uroki białostockich uliczek, tych, które prowadziły do szkoły. Teraz trwały jeszcze wakacje, trzymano się domu i nic nie było ciekawego do oglądania.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk (sekretarz redakcji), Barbara Skórska, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, Marek Zarębski (zastępca sekr. red.)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-68.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-584 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 2222/G. Z-50

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NA KONIEC NUMERU

– POWIEDZ MI, Kowalski, czy to Ziemia kręci się dookoła Słońca, czy też Słońce wokół Ziemi?

– Ziemia się kręci wokół Słońca! – odpowiada Kowalski.

– Bardzo dobrze! A Jankowski powie mi, skąd o tym wiemy?

– Ja... ja się o tym dowiedziałem przed chwilą od Kowalskiego.

U OKULISTY:
– Widzi pan te litery na tablicy?
– Na jakiej tablicy...?

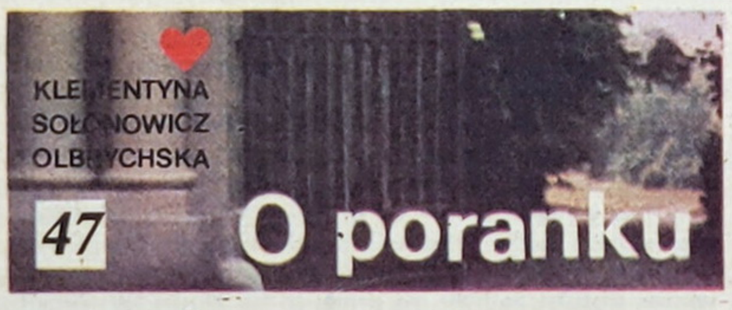

Nasłuchiwała Nowego. Nowe nie musiało być najlepsze. Dopiero teraz w całej pełni doceniła lubaszki w bocznej, ciemnej alejce i dzikie wino oplatające werandę.

Czy nigdy już nie wejdzie na wierzchołek jabłoni, by oglądając wiślaną łachę i oddychając wiatrem od rzeki napełnić kieszenie owocami? Nie zobaczy Podgórza, Bączek? Nie zsunie się na szkółkach z wysokiej szopy krytej papą, rozgrzaną od słońca? Skóra ją wtedy parzyła, ulgę przynosił dopiero piasek przy lądowaniu. Leżała na nim dla ochłody, nim nie wspięła się znowu na szczyt dachu.

Nie podkopie się już pod stertę zboża, nie skoczy do rzeki, nie pobiegnie na czworaki z wymyśloną niezwykłą nowiną, nie zaniesie kremu do popękanych nóg Franki?

Czy znikną na zawsze dojazdy do Bączek wiosną i jesienią w bryczce, a zimą saniami z futrzakiem pod same pachy?

Nie zobaczy tam Witka stojącego u bramy parku dużo dłużej, niż by się można spodziewać.

– Godzinę już czekam, a was nie ma – wołał, bo czekał niecierpliwie.

Przyjeżdżał, odjeżdżał. Teraz ona jedzie tam, gdzie jest jego dom i gdzie sama zamieszka z rodzicami.

W pełni sobie tego nie zdążyła uświadomić, żegnała tymczasem Podłęż i dzieciństwo.

Nie pragnęła być dorosłą.

Płakała oto pod kołdrą, bo napadł ją nagły żal za ulubionym siwkiem. Nie należał do koni, które stąpają lekko z wyciągniętą szyją. Nie miał połyskującej skóry, nie nosił wysoko głowy i niczego dobrego od życia się nie spodziewał. Był szkapą, nie koniem. Woził beczkę z wodą do podlewania warzyw i kwiatów. Nie miał nigdy na sobie siodła, ni za sobą bryczki lub powozu.

Nosiła mu czasem cukier i chleb, ale mogła to robić częściej, o wiele częściej. Kasztanki i bez cukru miały boki okrągłe i pięknie wyczyszczone.

Prędko się ubrała. Znalazłszy się w stajni, w tym pomieszczeniu pełnym ostrego zapachu koni i rzemienia, przytuliła twarz do siwka.

Nie kopał, mogła stać przy nim bez lęku. Płakała i całowała jego bok twardy i zapadnięty. Skrobała palcami szyję, którą przecież umiał wyprostować. Widać sprawiało mu to przyjemność.

Wyciągnęła chleb, a koń wziął go z jej ręki dotknięciem tak delikatnym, jakby miał wargi zrobione z aksamitu.

Wieczorem cieszyła ją nowość, pakowanie, planowanie podróży, a teraz wśród ogołoconych izb pełnych słomy i niepotrzebnych rupieci zniknął raptem dom. Poza niepotrzebnymi drobiazgami, zbieranymi przez Gabrysię, niczego nie było na swoim miejscu.

Matka, którą najbardziej cieszył wyjazd do miasta, bo zawsze tęskniła do teatru i innego życia, też nie była za wesoła.

– Gdzie kubek, gdzie cukier? – krzyczała. – Włóż pończochy, nie plącz się pod nogami. Oszalały dzisiaj!

– Przeprowadzka to koszmar – dorzucał ojciec szukając okularów.

Zuzka wybiegła na werandę, na szczęście taką jak zawsze. Stały ławy i stół; one były częścią werandy, nikt tego nie nadał na bagaż. Tu zawsze przy gasnącym słońcu będzie się jadało podwieczorek.

Werandę, cały dom wypełnią nowi ludzie, nowe sprzęty. Teraz był on pobojowiskiem.

Łacha wiślana, podwórze były takie jak zawsze i lasy znajome ciemniały za rzeką.

Pomyślała o rzece. Tylko tam mogła znaleźć swoje miejsce – skoro pożegnała już siwka w stajni, ogród i czworaki.

Zatrzymała się. Wołano z werandy. Zobaczyła Olecha, wy-

Dokończenie na str. 7